

# WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

D. GALAJ — Do miczurinowców ziemi olsztyńskiej. I. ERENBURG — O pracy pisarza. P. GUZY — Kulak.  
P. LESZAK — Sytuacja w Trieście. T. ATKINS — Nietrudne zagadki. S. KAMINSKI — U nas i u nich.  
J. KOZŁOWSKI — Pieśń nad pieśniami rewolucji. J. LITWIN — Na szlaku sprawy chłopskiej.  
E. STRITTMATER — Tinko. J. KRAUSOWA — Pieśniarz polskiego Wybrzeża.  
T. KARPOWICZ — Nad radziecką rzeką. B. LIPINSKA — W trosce o twórczość ludową.  
R. HŁADKO — Znachor czy lekarz. A. BUREK — O właściwym kierunku natarcia.  
T. ŚLIWINSKI — Zaniedbana dziedzina. S. KRAKOWIAK — Wiejskie księgarne.  
J. JELONEK — Na temat muzeów postępu społecznego. W. JAŻDZYŃSKI — Podróż służbowa.

Rok X

Warszawa, dnia 22 listopada 1953 r.

Nr 47 (433)

HILARY MINC

## Sens naszej polityki gospodarczej (Fragment przemówienia, wygłoszonego podczas dyskusji na IX Plenum KC PZPR)

JEST rzeczą jasną i zrozumiałą dla wszystkich, że nadmierna dysproporcja między przemysłem a rolnictwem i pozostawanie rolnictwa w tyle stały się hamulcem dla podniesienia stopy życiowej, dla podniesienia i dalszego rozwoju całej naszej gospodarki. Z tego względu pilnym, najważniejszym, niecierpiącym zwłoki zadaniem jest przyspieszenie tempa wzrostu produkcji rolnej, podniesienie tej produkcji.

Podnosić produkcję rolną można rozmaitymi drogami. Jest droga podnoszenia produkcji rolnej, podnoszenia w cudzoziemiu, która się nazywała tzw. „produkcją dla produkcji”. To była droga, która usiłowała uzyskać wzrost produkcji rolnej przekreślając nasze podstawowe zadanie klasowe i polityczne. Była to droga gomulkowskiżyny. Zwolennicy tej drogi mówili: nie zakładać spółdzielni — wtedy chłop będzie rozwijał produkcję. Zwolennicy tej drogi mówili: dać kulakowi luz, nie ściągając z niego dostaw, nie ściągając z niego większych podatków, nie ograniczać jego wyzysku w stosunku do biedoty, pozwolić mu brać takie ceny jak chce, za produkty rolne. Zwolennicy tej drogi mówili: — niech kulak produkuje i niech kulak wyzyskuje. Ta droga była złudna, jeżeli chodzi o oczekiwane rezultaty produkcyjne. Wiemy bowiem, że kapitalistyczny rozwój wsi wielkiego wzrostu produkcji dać nie może; okres Polski międzywojennej, Polski kapitalistycznej, sanacyjnej — najlepiej to udowodnił. Ale to nie jest najważniejsze. Ta droga była z gruntu fałszywa i kapitulacka, prowadziła ona do wysubordinowania i wzmocnienia sił gospodarczych i politycznych kulaka, do faktycznego zrywania sojuszu robotniczo-chłopskiego i oddawania mas chłopskich pod komendę kulaka. Prowadziłaby ona, gdyby jej nie ukrecono iba, do tego, że kulak nam by łeb ukroczył.

Partia nasza odrzuciła tę drogę, najpełniej wyrażoną w gomulkowskiżynie, rozgromiła „teorię” tej drogi. Czy znaczy to, że nie ma już u nas niebezpieczeństwa z prawa, że tu i ówdzie pod naciskiem kulaka i na tle fałszywego i opaczniego rozumienia hasła o wzroście produkcji nie będą się pojawiały jakieś nawroty i nawrociki? Nie, nie znaczy. Takie niebezpieczeństwo istnieje, w stosunku do tego niebezpieczeństwa trzeba zachować czujność, a wobec wszelkich możliwych nawrotów drogi „produkcji dla produkcji” i wysubordinowania sił kulaka, zwłaszcza na tle obecnej sytuacji i obecnych zadań, trzeba zawsze trzymać proch w stanie suchym.

Była i druga fałszywa droga, droga awanturniczo-lewacka, droga sekciarska. Faktycznie zwolennicy tej drogi w tej czy innej formie głosili: w gospodarstwach indywidualnych nie ma rezerwy, a więc natychmiast albo prawie natychmiast — masowe współdzielczości, a więc natychmiast albo prawie natychmiast — likwidacja kulaństwa jako klasy.

Co to oznaczało? Oznaczało to oczywiście tworzenie spółdzielczości drogą administracyjną, przez podeptanie zasady dobrowolności, bez politycznego i organizacyjno-ekonomicznego przygotowania. Ta droga wyrażała się takim powiedzeniem: „im gorzej — tym lepiej”, co miało oznaczać: im gorzej z produkcją w gospodarstwach indywidualnych — tym lepiej dla rozwoju spółdzielczości produkcyjnej. Ta droga była oczywiście złudna jeżeli chodzi o produkcję, bo nie ma mowy o prawdziwym rozwoju produkcji w spółdzielczości tworzonej bez przekonania, bez organizacyjnej podbudowy, bez podciągnięcia za sobą mas małorolnych i średniorolnych chłopów i bez wywołania u nich przelomu. Musiałaby ta droga prowadzić do karykaturalnych, niezwykłych spółdzielni, dających spadek produkcji i doprowadzających do spadku produkcji rolnej w ogóle.

Ala najważniejsze jest to, że taka droga prowadziła do zerwania sojuszu robotniczo-chłopskiego, do oderwania od mas małorolnych i średniorolnych chłopów i wbrew „lewym” pozorom, wbrew rekomendacji ostru skierowanemu w kulaka, taka droga wzmocniłaby kulaka.

Partia tę fałszywą „teorię” rozgromiła i dalej gromi wszelkie jej przejawy. Świadcy o tym uchwała w sprawie gryfickiej, świadcy o tym szereg innych decyzji partii. Ale czy to znaczy, że niebezpieczeństwa tej drogi sekciarsko-lewackiej, awanturniczej już nie istnieją? Nie, takie niebezpieczeństwa istnieją. I wobec tych niebezpieczeństw, tak jak wobec prawicowych, oportunistycznych niebezpieczeństw trzeba trzymać proch w stanie suchym.

Wobec tych dwóch błędnych dróg — jaka jest droga partii? To jest droga, o której mówił w swoim referacie towarzyszy Bierut, to jest droga bolszewickiej walki na dwa fronty: przeciwko prawicowemu kapitulantstwu i przeciwko lewackiemu awanturnictwu i lewackiemu sekciarstwu.

Partia wskazując tę drogę mówi: istnieją rezerwy w gospodarstwach indywidualnych. Trzeba pomagać małorolnym i średniorolnym chłopom w rozwoju produkcji ich gospodarstw. Trzeba rozwijać jednocześnie sektor socjalistyczny, rozwijać spółdzielczość produkcyjną i umacniać PGR. Trzeba ograniczać, a nie likwidować kulaka, trzeba wzmocnić ochronę małorolnych i średniorolnych gospodarstw przed wyzyskiem kulackim.

Ta droga, droga partii, przewija się we wszystkich partyjnych dokumentach od sierpnowego i wrześniowego Plenum PPR do mocno i jasno sformułowanych wytycznych VII Plenum PZPR. Na obecnym IX, przedjazdowym Plenum, kiedy się robi rachunek zysków i strat, trzeba jasno powiedzieć, że mieliśmy słuszną generalną linię polityki partii na wsi. Jest to niewątpliwie zysk. Zysk, który należy zapisać na dobro całej partii, jej kolektywu kierowniczego — Komitetu Centralnego z towarzyszeniem Bolesławem Bierutem na czele.

Oczywiście, że prócz zysków — są i straty. Są straty, i nawet poważne straty i o nich trzeba mówić.

Nie umieliśmy dostatecznie skoncentrować się na przeprowadzeniu praktycznym w życiu tej słusznej generalnej linii partii i nie umieliśmy — jak to się mówi w tezach — z dostateczną ostrością doprowadzić

do świadomości organizacji partyjnych decyzji VII Plenum, nie umieliśmy praktycznie i konkretnie wprowadzić w życie słusznych decyzji VII Plenum w kierunku osiągnięcia większego wzrostu produkcji rolnej zarówno w gospodarstwach indywidualnych, jak i poprzez dalszy rozwój sektora socjalistycznego.

Były to obiektywne przyczyny — wielki wysiłek w budowie ciężkiego przemysłu, ważne zadania polityczne. Te obiektywne przyczyny utrudniały koncentrację sił i środków na odcinku rolnictwa w szczególności koncentrację kadry i ludzi, których ilość jest ograniczoną. Ale rzecz jasna byłoby błędne sprowadzić sprawę tylko do obiektywnych przyczyn. Były i subiektywne przyczyny i bardzo dużo subiektywnych przyczyn.

Np. jest rzeczą niewątpliwą, że moglibyśmy dzisiaj mieć lepsze wyniki w zakresie produkcji maszyn rolniczych. Czy jest rzeczą normalną, że z 6 tys. inżynierów, którzy pracują w Min. Przemysłu Maszynowego, tylko 72 pracuje w przydzielonych maszyn rolniczych? Czy można było dać więcej inżynierów z tych sześciu tysięcy do fabryk maszyn rolniczych? Można było. Czy można było mieć tam lepsze laboratoria, sprzęt pomiarowy, lepszą organizację? Można było. Czy winien jest tu resort przemysłu maszynowego? Winien niewątpliwie, ale nie tylko resort przemysłu maszynowego. My wszyscy potrafiłemu temu resortowi pomóc rozwijać produkcję działów o wiele trudniejszych niż maszyny rolnicze. Jeśli więc nie potrafiliśmy pomóc mu w rozwinięciu produkcji dostatecznej liczby nowoczesnych maszyn rolniczych, to znaczy, że niedostatecznie skoncentrowaliśmy na tej sprawie naszą uwagę i nasze wysiłki.

Weźmy zagadnienie materiałów budowlanych. Mówi się o przydziałach materiałów budowlanych. Te przydziały są małe. Ale czy są normalne te fakty, o których opowiadali towarzysze z woj. poznańskiego i z woj. łódzkiego, kiedy to przydzielali leż w spółdzielniach, a podać chłopów się nie rozpatrzyli? To już nie jest obiektywna przyczyna, lecz jest to wynik faktu, że na sprawie zaopatrzenia wsi w materiały budowlane nie była dostatecznie skupiona uwaga centralnych i terenowych organizacji i władz.

Z rachunku zysków i strat muszą powstać przedzjazdowe wnioski. Te przedzjazdowe wnioski są tezy. To jest konkretyzacja wytycznych VII Plenum i twórcze ich rozwinięcie w nowej międzynarodowej i wewnętrznej sytuacji, to jest dalszy krok naprzód w tej dziedzinie, poparty nowym zestawieniem sił i środków w kierunku wzmocnienia rolnictwa.

Na czym polega sens naszej polityki gospodarczej na wsi, ujętej w tych tezach?

Będziemy wzmocniać PGR, rozwijać w nich mechanizację, budownictwo gospodarcze i mieszkalne i uleczkać organizację.

Co to da? Co to powinno dać? Szybki wzrost produkcji w PGR.

Tezy przewidują rozbudowany system bodźców dla rozwoju spółdzielczości produkcyjnej i jej umocnienia. Na czym ten system bodźców polega? Polega on na pomocy w budowie pomieszczeń dla uspołecznionego inwentarza, na zwrocie wkładów inwentarzystów spółdzielcom w tym samym roku, kiedy się je wnoszą, na wprowadzeniu norm dostaw do spółdzielni w sposób przewidyujący ich wzmocnienie materialne zainteresowanie w rozwoju produkcji, na radykalnej poprawie pracy POM, które przecież obsługują spółdzielnie, i o których pracy zależą wyniki spółdzielni.

Co to powinno dać? To powinno dać umocnienie istniejących spółdzielni i szybszy wzrost spółdzielczości produkcyjnej. Czyli — tezy oparte są na założeniu, że system inwestycji i uruchomionych bodźców działa na szybszy wzrost sektora socjalistycznego na wsi.

A wewnątrz sektora indywidualnego? Tezy przewidują ulgi w dostawach obowiązkowych przede wszystkim dla małorolnych. Tezy przewidują szeroką kontraktację. Po co? Żeby podnieść hodowlę i żeby umożliwić rozwój produkcji małorolnym i średniorolnym gospodarstwom.

Tezy przewidują rozwój kredytów. Dla kogo? Dla małorolnych i średniorolnych chłopów. Po co? Żeby mogli oni zakupić inwentarz, rozszerzyć budownictwo gospodarcze, podnieść produkcję. Czyli co przewidują tezy? Przewidują one, że niezależnie od szybkiego wzrostu sektora socjalistycznego wewnątrz sektora indywidualnego będzie się rozwijała produkcja gospodarstw mało i średniorolnych przy spadku względnym, niekoniecznie absolutnym — produkcji kulackiej.

Co to powinno dać? Umocnienie naszych pozycji jako sektora socjalistycznego i naszych pozycji klasowych na wsi.

A jak z kulakami? Tezy mówią wyraźnie: polityka ograniczenia, a nie likwidacji. Pewnie że przy polityce ograniczenia mogą zająć wypadki, że pewnie słabsze ognia kulackie mogą podpaść gospodarczo. Ale to jest tylko produkt uboczny procesu ograniczania.

Skoło mówimy o ograniczaniu kulaństwa — to trzeba pamiętać, że ograniczanie odbywa się nie tylko przez podatki, nie tylko przez obowiązkowe dostawy, ale jednym z podstawowych źródeł ograniczania jest ograniczenie możliwości wyzysku. A jak można ograniczyć możliwości wyzysku? Przez dawanie małorolnym gospodarstwom możliwości uniezależnienia się od kulaka w drodze otrzymania pomocy państwowej. Czy mówią o tym tezy? Mówią. Zadaniem polega na tym, żeby to kierunkowo nastawienie tej praktycznie rozpracować, tak żeby GOM, żeby inne nasze organizacje mogły w coraz większym stopniu pomagać biedocie w uniezależnieniu się od kulaka.

Czyli — jaki jest sens naszej polityki gospodarczej na wsi? Sens polega na tym, ażeby w okresie najbliższych lat uzyskać wzrost produkcji rolnej, przy poważnym wzroście sektora socjalistycznego na wsi, przy poważnym wzroście produkcji spółdzielni produkcyjnych i PGR, przy wzmocnieniu ekonomicznym gospodarstw małorolnych i średniorolnych przy względnym spadku udziału kulaka w produkcji i dalszym politycznym izolowaniu kulaka na wsi. Taki jest sens naszej polityki gospodarczej na wsi.

STANISŁAW FASULA

## W GMINIE ŻŁOTNIKI KUJAWSKIE

Radę i projekty

Referat tow. Bieruta i Tezy Przedzjazdowe wydobyczą na wsi już teraz największą rezerwę, a niedość dotąd uruchomioną — obywatelską krytykę i inicjatywę społeczną.

Nie ma bowiem gminy, nie ma gromady bez kielków społecznej inicjatywy. IX Plenum niesie im deszcz i siłnice, wybijają przeto jak nigdy dotąd. W naszej gminie Żłotniki Kujawskie (woj. bydgoskie) mamy przeważającą ilość łąk — około 1300 ha. Ale te łąki są zapuszczone i hamują rozwój hodowli bydła. A przecież u nas ziemia pod uprawą dobra na pszenicę, jęczmień, buraki, oleiste i warzywa. A przecież u nas większość średniaków. Ziemia dość daje, aby odłożyć coś na inwestycję łąk i na nich rozwinąć hodowlę, a przez to dochód własny podnieść.

W roku 1949 kierownictwo wodno-melioracyjne ofiarowało swą pomoc gromadzie Ziemianna, skorzystał z niej niestety tylko jeden chłop W. Dorabiała. Otrzymał trawę mieszaną, nawozy sztuczne i traktor do zaorania. Na 1,5 ha w pierwszym roku uzyskał 50 q siana, w następnym po 80 q, podczas kiedy na danej łące zbierał 10 q. Kosi trzykrotnie w roku. Z próby Dorabiała wyrósł kielik inicjatywy społecznej. Chłopi w Dziemiannę zorali i uprawili 50 ha starych łąk uzyskując siana po 80 q z ha. Kielik się rozrasta, przystępują sąsiednie gromady do melioracji łąk — Januszkowo i Krąkzowo. Ze wszystkich sił przekonywać będziemy chłopów w mojej wsi Nieszczewice, gdzie duży jest obszar łąk. Ale sprawa dojrzała już, aby wypełniając wskazania Tez podjąć ruch na całą gminę, uczynić żłotodajnymi 1300 ha łąk! Miałem 13.000 q siana będziemy mieć w gminie 100 tysięcy q, czyli osiem razy więcej. Jeszcze znacznie rozwinie my wtedy pogłowienie!

Nie wierzone przed 4 lata inżynierom z Melioracji Łąkowej. Ale dziś wierzą chłopom - agitatorom, którzy doświadczali uprawy. Oni są rezerwą kadrową dla jednej z najważniejszych zadań produkcyjnych w naszej gminie. Z nimi niech GRN robi narady, niech ustali plan agitacji. W każdej wsi znajdują przodowników i

razem z aktywistami wygrają sprawę łąk, sprawę hodowli.

Krytyka Obywatelska! Do takiej pobudza nas IX Plenum. Jak ją rozumiem? Weźmy za przykład GS w naszej gminie. Z tego co zapowiadają Tezy, wynika, że do GS-ów napływać będzie szeroki strumień środków pomocy dla produkcji rolnej — nawozy, nasiona, ziarno selekcyjne, maszyny, narzędzia, materiały budowlane, gospodarski oraz artykuły domowej potrzeby. Pod wpływem referatu Tow. Bieruta rozumni chłopci powiadają: GS musimy zmienić styl pracy, skończyć z biernością i obojętnością dla produkcji. I gdyby zwołano w gminie naradę aktywistów politycznych i produkcyjnych rolników dyskusja dałaby nie jałowa, a z twórczą krytyką. Spółdzielni gmina zakupiła 3 tony soli będącej i zmagazynowała ją między azotem a siarczanem amonu. Skutek? Byłoby i trzoda chlewna choruje po tak przyprowadzonej soli. Tak to aparat GS dba o wykonanie planu na odcinku hodowli. Spółdzielni posiada magazyny, ale superfosfat ulokowała na wolnym powietrzu, przez co 50% fosforu ulotniło się.

Taką to politykę prowadzi GS w stosunku do naczelną uprawy — zbożowych. I to gdzie: w województwie bydgoskim, które obok poznańskiego nazywa się producentem chleba.

W sprzedaży towarów GS — również nie wykazuje ruchliwości i dbałości. Wózki dziecięce upchano w magazynie nawozów sztucznych zamiast wystawić je w sklepie. Nawozy wyżyły nikiel, pokryły go rdzą, chłopci więc kupują wózki w Inowrocławiu; tam też jedzą po butle do wina, bo GS zmagazynował je wśród nawozów i nie mogą ujrzeć światła dziennego.

Krytyka na naradzie społecznej wykazała wiele innych jeszcze błędów. Wskazuje tutaj tylko na ich charakter i poważne zagrożenie dla nowych o ilez większych i bardziej wszechstronnych zadań, jakie przed GS-ami staną. W tej krytyce idzie o naprawienie aparatu spółdzielczości zbytu i zaopatrzenia i przygotowanie

do zapewnienia wzrostu produkcji rolnej i zaspokojenia potrzeb codziennych ludności gminy. Dlatego trudno pominąć ocenę kierownictwa naszego GS. Ob. Bronisław Pluciński, z zawodu majster kominiarski, dopóki na niego pracowali ludzie, trzymał koncesję, kiedy przestali na niego robić, koncesję oddał, a sam rządził zostać prezesem GS. Gminną spółdzielnię przebudujemy tak, aby służyła sprawie produkcji i wykazywała troskę wobec potrzeb chłopów, ale nie obejdzie się bez usuwania pracowników, którzy okazali bezczynność i lekceważenie chłopca-producenta, którzy prowadzą społeczny handel ze stratami i ze szkodą dla rolnictwa i konsumentów.

I w GS chcemy mieć działacza, oddanego sprawie. A takich już dziś nie trzeba szukać ze świecą. Znajdziemy ich łatwo wśród sumiennych, patriotycznych, oświeconych chłopów.

Opinia publiczna domaga się, jak w gromadzie Palczyn, zdjęcia ze stanowiska prezesa koła ZSCh — St. Andrysiaka. Dlaczego? Szwankuje odstawa buraka cukrowego, którego my powszechnie i w dużej ilości produkujemy. Winna cukrownia w Tunie, nie dostarczyła wagonów wg planu.

Ala winien również Andrysiak, mąż zaufania w kontraktacji buraka, który nie dopilnował transportu i zawiadł plantatorów; zawiadł też gromadzie, jako prezes ZSCh, nie wywiązując się z planu skupu. Zalega z ub. roku 160 kg zboża, w bieżącym — 3541 kg; w ziemniakach 525 kg. A w lipcu kontrola przeciwpożarowa wykryła u niego na strychu za kominem tonę zmagazynowanej mąki na spekulację.

Tacy „prezesi” do niczego dobrego by nas nie doprowadzili. W pracy nad podniesieniem produkcji, kiedy dla nich produkcja rolna nie wiele ma wspólnego z potrzebami miast, sojuszem robotniczo-chłopskim i rozwojem dobrobytu całego narodu — odegrają oni najwyżej rolę hamulca.

Stanisław Fasula  
Nieszczewice

EDWARD HOŁDA

## LIST BYŁEGO PREZESA GS

Widział, bracie, ja od dawna kradłem, w tym rzemiole jestem zaprawiony, na pewno.

Po polach się uganiałem za jadem, kluczyłem, zapadałem w zagony, zdobywałem, co dawało się zdobyć: rzepe, marchew pastewną, bobik.

Cóż tobie, tyś tego nie przechodził; wy inaczej jesteście młodzi.

Wyście się o skibkę chleba nie bijali; ja zjem.

Wam się w lada karmelku nie jawiły dziwy Australii; palmy mórz południowych; Ameryki, Azje.

Dlatego ściągałem słodycze ze straganów kramarzy; był to mój deser szczęścia po czczości surowych jarzyn; dlatego, nie pytałem więcej czemu.

Ala ty się burzasz; ty byś ukradł nie mógł, bo wstydy, bo to ambleji przeczy, bo honor i inne rzeczy.

Widział, bracie, jednak z ciebie sto pociech; i ja te myśli miałem; uciekły dziurami w kapocie.

Taka i moja młodość: człowiek pościł, tyrał, dawał ze siebie wszystko, brał niedołą w zamian.

A teraz — więzienie. Przywalił mnie wyrok. Uciekłeś po rozprawie. Umknąłś się z mych ramion.

Sluchaj, bracie, musimy być szczerzy; przez ciebie to nieszczęście. Nie wierzysz?

Uczy się młodszy, większe dla niego prawa; dla młodszego teatr i odczyt, dla młodszego wystawa, ty już niczym nie będziesz a młodszy to przyszył inżynier.

Tak matka zawsze mawiała. Ja jej nie winię.

Zły nie jestem. Obydwoje mnie znacie.

Ala zawiść trawiła mnie, bracie.

Ty, matka. Zylem jakby o kulach. No, a dobre spółdzielni moje. Bo czyjeż?

Pomyślałem sobie: pohulał. Tyle chociaż radości: popiję.

I puszczałem wspólne dobro kochani, sami wiecie w jakiej kompanii.

Matka oczy fartuchem obtreże, a ty krzykniesz zapalczywie: nie wierz! Jak zbutwiała wierzba w czystej rzece: prawda się odbije w twoim gniewie!

Biedniackie pochodzenie to przedeć nie fotel, gdzie się można rozeprzeć ojczyźnie na chwałę!

Opuściłem się. Zaniechałem robotę. Z dokształcania szczyłem. Karlałem.

Wytykano mi: nie tędy! Zawracaj! Nie słuchałem. Bracie, twoja jest racja, bo nie rostem, nie roslam, a mogłem!

Kiedyś to może i wystarczyło: żarliwość i nagan.

Dziś — mało.

Pięścią w księgowości nie za wiele wskórasz.

Potrzebna jest wiedza. Kultura.

Drodzy moi, znoście mi tu, choć gorzko. Osiem godzin w kopalni. Uciełwa zapłata. Później listy piszę albo siadam z książką.

Minał te dwa lata.

Wybac, matko, ślepe było synowskie uczucie. Ty zaś, bracie, ucz się dalej, dobrze ucz się, a jeśli byś w ZMP o mnie opowiadał bez litości nazwij mój postęp: zdrada.

Edward Holda

STEFAN KAMIŃSKI

# U NAS I U NICH

Dokonana przed tygodniem obniżka cen młostwa wszelkiego rodzaju artykułów została przyjęta z dużym uznaniem przez masę pracującą Polski Ludowej. Uchwała Rady Ministrów, która jest szczególnie korzystna dla chłopstwa pracującego, jest dziś przedmiotem żywych komentarzy we wszech naszym kraju i głębokiego zadowolenia chłopów.

Obniżka cen siewadcy, jakie dobrodziejstwa wypływają dla człowieka pracy z faktu, że nasze państwo ludowe jest czynnikiem regulującym stosunki na rynku towarowym. Rolę tę państwo może z powodzeniem spełnić przede wszystkim dzięki temu, że w kraju naszym prawie cały przemysł jest dziś uspołeczniony. W odróżnieniu od świata kapitalistycznego, gdzie przemysłowcy organizują produkcję w sposób, który by im zapewnił jak największe zyski, w Polsce Ludowej — celem, przyswajającym całej pracy kierownictwa naszego przemysłu — jest troska o zaspokojenie rosnących potrzeb ludności kraju. Toteż w miarę jak wspolawodnictwo socjalistyczne oraz entuzjastyczna praca przodowników i racjonalizatorów przyczynia się do powszechnego wzrostu wydajności pracy, a co za tym idzie — do obniżenia kosztów własnych produkcji, państwo nasze może obniżyć ceny wyrobów przemysłowych. To z kolei przynosi ze sobą bezpośredni i natychmiastowy wzrost stopy życiowej mas ludowych.

Państwo ludowe może być regulatorem cen na rynku również dlatego, że skupia ono w swych rękach skup i dystrybucję przeważającej części produkcji rolnej. Ta rola państwa ludowego nie podoba się oczywiście kulakom i spekulantom, którzy chcieliby ująć w swe ręce zarówno skup produktów rolnych, jak i zaopatrzenie ludności wiejskiej w towary przemysłowe. W taki sposób mogliby oni dyktować ludziom pracy wyrubowane ceny i tuczyć się kosztem robotników i chłopów pracujących.

W tym celu kulacy głoszą ideę panowania „wolnego rynku”. Wmawiają oni łatwowiernym ludziom, że w świecie kapitalistycznym ceny ustalają się rzekomo drogą wolnej konkurencji na rynku. A to — jak kulacy twierdzą — jest niby nader korzystne dla ogółu chłopów...

Jak rzecz się ma jednak w rzeczywistości?

Ważymy dla przykładu największe państwo kapitalistyczne, Stany Zjednoczone.

Istnieje tam 5 mln. gospodarstw, z których ponad 4 miliony — to gospodarstwa małych i średnio-rolnych farmerów. Farmerzy ci nie mają jednak bezpośredniego wpływu na ceny wyrobów, przez siebie produkowanych, a to właśnie dlatego, że w kraju dolara nie ma wolnego rynku.

W miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych nie ma targów chłopskich. Skup, przetwarzanie i hurtowa sprzedaż żywności skoncentrowana tam jest w rękach nielicznych wielkich towarzystw akcyjnych. Tak np. 4 potężne firmy skupują prawie cały żywiec we wszystkich zakątkach kraju, przetwarzają go w swych rzeźniach i dostarczają całemu krajowi mięso, kielbasę, tłuszczy i konserwy mięsne. Kilka innych multimilionerskich spółek monopolizuje handel zbożem, produkcję pieczywa, skup owoców, warzyw itd.

Pozbawiony możliwości sprzedaży swych produktów komuśkolwiek innemu — przeciętny farmer musi się godzić z cenami, dyktowanymi mu przez monopolistyczne towarzystwa.

Oto charakterystyczne przykłady. Za buszel (około 30 kilogramów) pszenicy farmer dostawał jeszcze przed rokiem 1,77 dolara, a dziś dostaje już tylko 1,15. Za funt wolny monopolistyczne spółki płaciły farmerowi w zeszłym roku 25 centów, a dziś zaledwie 16,5 centa. Jeszcze gorzej rzecz się ma w okolicach dotkniętych w tym roku posuchą. Pozbawione skrupułów monopole wykorzystują tam zwiększoną podaż ze strony zrujnowanych farmerów, sprzedających masowo swe bydło. W okolicach tych farmer dostaje dziś tylko 5 centów za funt wolny, to znaczy 5 razy mniej niż w ubiegłym roku.

W pogoni za maksymalnymi zyskami, monopolistyczne spółki handlowe zmuszają konsumenta w mieście do płacenia coraz wyższych cen za produkty, które skupiły u farmerów za bezcen. Tak np. cena bochenka chleba wzrosła w ostatnich miesiącach w całym kraju z 18 do 20 centów.

Ograbiając bezlitośnie zarówno produkujących artykuły żywnościowe farmerów, jak i nabywających je robotników, wielkie spółki żywnościowe bogacą się coraz bardziej.

Według oficjalnej statystyki USA, w 1946 roku farmerowi przypadało w udziale przeciętnie po 54 centy z każdego dolara, który go spodni w mieście wydaje na żywność. Coraz bardziej okrutny wyzysk farmerów przez monopole sprawił jednak, że obecnie farmer dostaje już tylko 44 centy z dolara. Reszta to znaczy 56 centów z dolara, idzie do kas wielkich spółek kapitalistycznych, pośredniczących między farmerem a nabywcą żywności.

PAWEŁ LESZAK

# SYTUACJA W TRIESCIE

PRZED kilku laty miałem okazję spędzić dzień w Trieście, położonym na pograniczu Włoch i Jugosławii. Dzień ten wrył mi się dobrze w pamięć, obfitował bowiem w różne niespodzianki.

Już w pierwszej chwili, gdy wychodziłem z dworca, zaskoczył mnie niepowszedni widok dwóch pokazanych czołgów, manewrujących na przyległym do stacji placu. Lufy ich dział skierowane były prosto na przyjezdnych opuszczających dworzec. Na tymże placu tu i ówdzie grupki żołnierzy angielskich krzątały się wokół ciężkich karabinów maszynowych, również gotowych do powitania przybyszów ogniem.

Gdziekolwiek się w Trieście znalazłem, spotykałem wojskowych w angielskich i amerykańskich mundurach. Dowiedziałem się, że w mieście tym, liczącym 270 tysięcy mieszkańców, stacjonuje blisko 50 tysięcy żołdaków armii USA i Wielkiej Brytanii. Co 5 minut miałem jakiś patrol dowodzony przez okupantów policji, składający się z notorycznych faszystów włoskich i jugosłowiańskich. Często uzbrojone patrole surowym i podejrzliwym wzrokiem badały każdego przechodnia.

Amerykańskie i angielskie wozy pancerne pędziły w diabli jak tempa głównymi arteriami miasta. W swych wieżyczkach czołgistów obracała działa w różnych kierunkach, co wywoływało wszędzie panikę. Za każdym razem, gdy ukazał się jeden z tych samochołów pancernych, cywile na ulicy przyspieszali kroku, by zbiec w jakąś uliczkę, lub skryć się w jakimś sklepie. Wzburzenie ludzi i rzucane przez nich pod adresem nieprzychylnych gości przekleństwa świadczyły aż nadto dobitnie, jak ludność Trieści odnosi się do terrorystycznych ją najeżdżców.

Nad gmachami publicznymi Trieści powiewały flagi mocarstw zachodnich. W porcie było sporo zakotwiczonych okrętów wojennych państw anglosaskich. Druty kolejczaste i posterunki obcych wojsk zamykały mieszkańcom dostęp do wielu ulic. Miejsca ludność — Włosi i Słowianie — odczuwali na każdym kroku, że są jakby w obłożonym mieście.

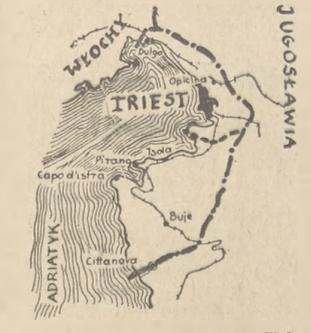
Na murach Trieści rozlepienie były afisze, w których angielskie władze wojskowe usiłowały uzasadnić okupację miasta, leżącego aż tak daleko od brzegów Anglii i USA. Z afiszów tych wynikało, że okupacja „chroni” mieszkańców od... wzajemnego wy mordowania się. Afisze zapewniały, że włoskich i słowiańskich mieszkańców Trieści dzieli rzekomo głęboka nienawiść, wobec czego rozpętany przez okupantów terror jest po prostu „jedynym ratunkiem”...

Co prawda, idąc na rękę imperialistom, miejscowe organizacje tytułowe i skrajnej prawicy włoskiej organizują od czasu do czasu burzliwe demonstracje, podczas których rzucane są hasła szowinistyczne. Ale w demonstracjach tych uczestniczą małe grupki ludzi. Szerokie zaś masy ludzi pracy, Włochów, Słowian i Chorwatów, współżycią ze sobą w całkowitej zgodzie.

Nazajutrz pojechałem statkiem z Trieści położonego w okupowanej przez Anglo-Amerykanów strefie A, do miasteczka Capo d'Istria, mieszczącego się w „okupowanej” strefie B wojska jugosłowiańskiej strefie B wolnego obszaru Trieści. Miejsca ludność ma prawo poruszania się w obu strefach. W mieszanym tłumie pasażerów było więc sporo zarówno włoskich robotników i rybaków, jak i powracających z targu chłopów słowiańskich i chorwackich.

Na otwartym morzu, z dala od wojsk okupacyjnych, prośbi ludzie różnych narodowości trabali się swobodnie. Chorwackie dzieci o linianych włosach i włoskie dzieci.

o śniadzie cerze bawiły się razem na pokładzie w ciuciubabkę. Bruneci łacińskiego pochodzenia flirtowali z jasnowłosymi Słowenkami. Starsze małżeństwa obu narodowości czuwały się nawzajem kanapkami i owocami. Na dziobie pokładu liczną grupą młodzieży śpiewała na przemian włoskie i południowo-słowiańskie pieśni ludowe. Przypatrując się życzliwym stosunkom tych prostych ludzi, każdy doszedłby do wniosku, że problem Trieści został



Mapka pomyślna przedstawia Wolny Obszar Trieści. Jest on podzielony na dwie części (granica zaznaczona przerywaną linią). Wokół Trieści mieści się strefa A, na północnie od niej rozciąga się strefa B.

by szybko rozwiązany, gdyby wojska okupacyjne opuściły te strony, a ludność samą zorganizowała swe życie.

Sytuacja w Trieście jest po dziś dzień taka sama. Jest ona w jawnej sprzeczności z podpisaniem przez 21 państw traktatem pokojowym z Włochami. W myśl tego traktatu miasto Trieści i otaczający je maj rejony rolniczy miały stać się Wolnym Obszarem Trieści. Tekst traktatu pokojowego gwarantuje miejscowej ludności podstawowe prawa demokratyczne, własną demokratyczną konstytucję oraz prawo do kierowania całym życiem Wolnego Obszaru.

Zwierzchni nadzór nad lokalnymi władzami miał piastować mianowany przez Radę Bezpieczeństwa ONZ gubernator, który miał też dbać o to, by Wolne Terytorium pozostało neutralne i zdemilitaryzowane. Wreszcie po 135 dniach od chwili objęcia swych funkcji przez gubernatora, anglo-amerykańskie i jugosłowiańskie wojska okupacyjne miały być wycofane z całego terenu Trieści.

Traktat pokojowy z Włochami obowiązuje od 15 września 1947 r. Przepisy tego traktatu dotyczące Trieści nie zostały jednak wprowadzone w życie. Miejsca ludność nie korzysta z obiecanych jej swobód demokratycznych. Nazwa „Wolne Terytorium” jest właściwie fikcją, gdyż obec wojska panoszą się tam, jak w swej kolonii. Triest nie jest też ani neutralny, ani zdemilitaryzowany. Wręcz odwrotnie, imperialiści przekształcili te tereny w swą bazę wojenną.

Okupacja Trieści oddziaływała bardzo ujemnie na życie gospodarcze tego miasta. Port Trieści, największy na Morzu Adriatyckim, jest dziś wykorzystywany zaledwie w 60 procentach i to głównie dla potrzeb wojsk anglosaskich. Wielkie stocznie Trieści świecą pustkami. Większość miejscowych fabryk pracuje po 2 — 3 dni w tygodniu. W mieście, które było ongiś nader ożywionym ośrodkiem handlowym i komunikacyjnym, życie gospodarcze stopniowo zamiera. Imperialiści odciepli bowiem Triest od świata i pozabawili go jego tradycyjnej roli portu tranzytowego dla wymiany towarowej między Wschodem i Zachodem Europy.

MIR-DŻALAL

# KAJMAK

W SZYSTKO, co dawała Mochbalemu jego jedyna krowa, sprzedawał — tak jak i przed rewolucją — Meszadi-Mochsunowi, chociaż wiedział, że władza radziecka, która obdarzyła bezrolnych chłopów ziemią, nie była zechliwie usposobiona do sklepikarzy.

Codziennie rankiem Mochbali zlewał zgęstniały w ciągu nocy kajmak do miedzianego kociołka, nakrywał go chustką i odnosił na stację do sklepiku Meszadi-Mochsuna.

Czynność tą uważał Mochbali za najważniejsze zadanie całego dnia. Zabierając się do wyjścia, Mochbali przypomniał sobie czasem, że żona każała mu kupić zapalki lub imbir.

— Meszadi — mówił zmieszany, biorąc zapalki lub imbir — przegram, że cię niepokoję: jak wyglądasz teraz nasz rachunek? Meszadi-Mochsun pociągał z cybuchą, mruczył jedno oko i odwracając się do ściany, zaczynał liczyć na palcach i stukać na liczydłach.

— Wyglądasz tak, — mówił powoli, namyślając się, — jak przyniesiesz jeszcze jeden kociołek kajmaku, rachunek nasz się wyrówna. Ale to nic. Nie jesteś przecię, chwata Bogu, oby.

Mochbali wyrażał zgodę. — Więc powiadasz: jeden kociołek? — Tak, tylko jeden.

— No, to dobrze.

„Opieczętwoł sklep!”

Mochbali postąpił jeszcze przed sklepem kilka minut, po czym zaczął przechadzać się w pobliżu, pytając przechodniów: co się stało z Meszadi-Mochsunem? Gdzie się podział? Odpowiedzi brzmiały:

— Meszadi-Mochsun oszukiwał na wadze.

— Nie plał podatków.

— Na pewno uciekł, albo siedzi w więzieniu.

— Co zrobił? Przecież kajmak może się zepsuć.

Po długim namyśle i wahaniach wrócił do domu i stawiając kociołek na kominku, zadumał się.

— Co się stało? — zapytała żona. — Znowu nie przyjął? Czegoś on chce, jeżeli taki wspaniały kajmak jeszcze mu się nie podoba?

Mochbali opowiedział żonie, że Meszadi-Mochsun już nie ma, że jego sklep zapieczętwoł.

Żona słuchała ze zdziwieniem.

— No, i pał go diabli! — zawołała. — Dobrze, że opieczętwoł! Nie ma się czego martwić!

— Jakże się nie martwić, skoro nie mogłem dostarczyć mu jego kajmaku?

A powiedz mi: dlaczego nasz kajmak od tak dawna stał się jędnym kajmakiem? Niech kamień spadnie na jego głowę! Nie bierz, to tym lepiej!

Po tych prostych słowach żony, jakby zasnęła spała sprzed oczu Mochbalego.

Przecież oczywiśtym jest, że kajmak należy do niego, Mochbalego, a nie do Meszadi-Mochsuna. Krowa jest jego własnością, pasie ją jego syn, kajmak przyrządza jego żona... Pasza na zimę dla krowy rośnie na polu uprawianym przez niego; na tym właśnie polu rośnie zielona, jak szmaragd, lucerna, którą on sam kosi własną kosą...

Jak się jednak dotychczas działo, że wszystek jego kajmak trafiał do sklepu Meszadi-Mochsuna?

I oto po raz pierwszy w życiu Mochbalemu zaczęło się rozjaśniać w głowie. Mochbali przejrzał...

W jaki to sposób sklepikarz nie nie robiąc, stał się współnikiem chłopów do ich plonów? Jakim prawem sklepikarz wyciągał ręce po plony, wyprodukowane chłopską pracą? Po bawelne, po pszenicę, po wełnę? Wyciągał ręce nawet po perkal, wyprodukowany przez robotników w fabrykach.

Teraz dopiero Mochbali zrozumiał, dlaczego władza radziecka opieczętwołuje prywatne sklepiki i surowo karze tych, co obdzierają i oszukują chłopów!

— Zono, nakryj do stołu! Naley herbaty! — powiedział Mochbali stanowiącym glosem, stawiając na stole kociołek z kajmakiem.

Mochbali posadził syna obok siebie i zagarniając łyżką kajmak, to sam go jadł, to podawał Nadrowi.

— Jedz synku, jedz! Wiedz, chłopcze, że lepsze czasy nadeszły! — Ale skąd dostanemy imbiru? — zapytała żona Mochbalego — gdy sklep Meszadi-Mochsuna zamknięty?

— A po co ci imbir?

— Pomaga mi na bóle żołądkowe — odpowiedziała.

— Nie obawiaj się. Gdy codziennie rano zjesz sobie kajmaku do woli, nie będziesz miewała bóli. Zapewnim cię, Niech sobie Meszadi Mochsun sam pieje swą herbatę z imbiru. Bądźmy wdzięczni władzy radzieckiej! Dzięki niej otworzy się nam oczy! Nareszcie znalazł się prawdziwy właściciel kajmaku!

Przekład z rosyjskiego Henryka Kronmana

Mir Dżalal (Pasza) urodził się w roku 1908 w Kirwanabadzie. Pierwsze jego opowiadania ukazały się w roku 1939. Następnie Dżalal napisał powieści „Człowiek zmartwychwstał” i „Manifest milo-dęgo człowieka”.

Podczas wojny Mir Dżalal wydał kilka tomów opowiadań, w których ukazał heroiczne zmagania ludu azerskiego. Po wojnie napisał głośną powieść „Moi rodzice”.

\* Kajmak: zgrzeszone, prażone w piecu mięso.

TOMASZ ATKINS

# NIETRUDNE ZAGADKI

KIEDY Francuz staje się cudzoziemcem nie opuszczając swego kraju?

Z taką zagadką zwrócił się do publiczności świetny piosenkarz francuski Yves Montand. I niedługo czekał na odpowiedź. Dla większości zapytanych rozwiązanie zagadki okazało się łatwe.

— Francuz staje się cudzoziemcem we własnym kraju kiedy wkracza na teren bazy amerykańskiej — brzmiała odpowiedź.

„US PROPERTY — ENTRY FORBIDDEN” — „Posiadłość amerykańska — Wstęp zabroniony” — tablice z takim napisem są znane we wszystkich krajach Europy zachodniej. Znaczą one granicę amerykańskich instalacji portowych, lotnisk, obozów wojskowych. Gdy Anglik lub Francuz, Belg lub Holender, Włoch czy Duńczyk wejdą na teren takiej „posiadłości amerykańskiej” stają się cudzoziemcami we własnej ojczyźnie; nie stosują się już do nich prawa krajowe, mogą być sądeni i karani według praw amerykańskich.

Skąd się wzięły bazy amerykańskie w Europie zachodniej? Jakim celom służą?

Pierwsze swoje bazy w Europie Stany Zjednoczone uzyskały podczas ostatniej wojny światowej dla walki przeciwko Niemcom hitlerowskim. Niemcy hitlerowskie zostały pokonane, wojna skończyła się, ale Amerykanie baz nie opuścili. Przeciwnie: jak powiada przysłowie, apetyt wzrasta podczas jedzenia. Od czasu zakończenia wojny liczba baz amerykańskich w Europie zachodniej podwoiła się: z blisko 500 skończyła na przeszło tysiąc, obejmując ostatnio również Hiszpanię frankistowską i faszystowską Grecję. Bazy, które miały służyć walce z hitleryzmem i wyzwoleniu narodów, stały się bazami amerykańskiej okupacji i przyczółkami odbudowy agresywnego militarizmu niemieckiego.

Bo jaki jest cel istnienia amerykańskich baz w Europie zachodniej? Amerykańska propaganda stara się przedstawić je, jako urządzenia obronne. Ale co by pomyśleli ci sami Amerykanie, gdyby np. Związek Radziecki zbudował bazy „obronne” w Meksyku lub Kanadzie, tuż nad granicą Stanów Zjednoczonych? W istocie bazy amerykańskie są bazami służącymi do przygotowania agresji wojennych. Zostają one roznosi stacjami do przystojowania agresji wojennych. Zostają one roznosi stacjami do przystojowania agresji wojennych. Zostają one roznosi stacjami do przystojowania agresji wojennych. Zostają one roznosi stacjami do przystojowania agresji wojennych.

Bazy amerykańskie — to jednocześnie niezwykle silny środek nacisku na rządy tych krajów, w których stacjonowane są garnizony amerykańskie. Trudno mówić o pełnej suwerenności państwowej, jeśli rozliczne „posiadłości amerykańskie” tworzą w kraju jak gdyby „państwo w państwie”. Trudno mówić o samodzielnej polityce, gdy mini-

ster angielski nie ma prawa wejść do bazy amerykańskiej w Anglii bez otrzymania przepustki od amerykańskiego sierżanta, jeśli — jak na to wskazywała nawet prasa burżuazyjna — Amerykanie mogą rozpetać wojnę ze swych baz w Wielkiej Brytanii nawet nie informując o tym rządowi angielskiego.

Dalej. Bazy amerykańskie — to podstawa wszelkich planów agresywnych, to najmocniejsze zaplecze dla zachodnio-niemieckich rewizjonistów i awanturników. Militariści niemieccy czują się pewni mając poparcie w militarystach amerykańskich, zadomowionych w zachodnio-europejskich bazach. Czyż nie jest charakterystyczne, że pierwsza szkoła i baza broni atomowej w Europie zachodniej utworzona została przez Amerykanów właśnie w Oberammergau, w Niemczech zachodnich? I czyż nie ma swej głębokiej wymowy fakt, że na mocy układu o „armii europejskiej” oddziały neo hitlerowskiego Wehrmachtu będą miały prawo stacjonować w bazach amerykańskich w KAŻDYM z krajów Europy zachodniej?

Bazy amerykańskie stanowią groźbę dla pokoju i bezpieczeństwa świata, dla suwerenności i niezależności narodów. I dlatego w swej ostatniej nocy do trzech mocarstw zachodnich rząd radziecki proponuje m. in. rozpatrzenie sprawy tworzenia przez Stany Zjednoczone baz na obszarze innych państw. Jest bowiem rzeczą zrozumiałą, że bez likwidacji tych baz agresji, nie do pomyślenia jest rzeczywiste odprężenie międzynarodowe.

Tę propozycję radziecką prasa burżuazyjna na Zachodzie uporzętyło przemilcza, gdyż żądnych argumentów przeciwko temu znaleźć nie może. Ale nie może ona pominąć milczeniem faktu stałej rozbudowy baz amerykańskich, stalego zwiększania garnizonów amerykańskich w krajach podporządkowanych Stanom Zjednoczonym. Na każdym kroku mieszkańcy Anglii, Francji, Włoch czy jakiegokolwiek innego kraju Europy zachodniej wciąż widzą hałaśliwych, rozpychających się żołdaków imperializmu amerykańskiego. Lecz to, że widzą ich codziennie, nie znaczy bynajmniej, że się do nich przyzwyczaili. Wręcz przeciwnie: przedłużająca się obecność nieproszonych gości wywołuje coraz głębszą niechęć i coraz ostrzejsze protesty mas ludowych w całej Europie zachodniej.

I dlatego też Yves Montand niedługo musiał czekać na odpowiedź, gdy — poza wspomnianym już pytaniem — postawił drugie pytanie: kiedy Amerykanie wytną się z Francji?

— Przedzł niż przypuszczają — padła odpowiedź zapytanych patriotów francuskich.

Odpowiedz ta ma zastosowanie nie tylko do Francji.

Tomasz Atkins



B. Komitowski



N. Sokolowska

DYZMA GAŁAJ

## DO MICZURINOWCÓW ZIEMI OLSZTYŃSKIEJ\*)

**P**RZODUJĄCY chłopi, mądrzy gospodarze, jeśli stanął przed Wami burżuazyjny uczyony i powiedział — „Nie wyciągniesz więcej z swojej gleby, nie wydolysz więcej z krowy” — czy nie odpowiedziałbyście mu dziś: „Niech pan nie oszukuje, panie profesorze! Wyciągnę więcej z gleby, wydolę więcej z krowy, wyhoduję brzoświnie — jeśli tylko będę miał odpowiednio do tego środki, odpowiednią ilość nawozów, odpowiednie narzędzia, odpowiednie ziarno; i wydobędę jeszcze więcej, jeśli wzrosnie moja wiedza rolnicza, jeśli poznam potrzeby i wymagania mojej pszenicy, czy krowy, jeśli poznam prawa rozwoju organizmu tych roślin, które uprawiam i organizm tych zwierząt, które hoduję w stajni, oborze, chlewni i kurniku. Postęp w rolnictwie jest bowiem zjawiskiem stałym i uwarunkowanym jedynie naszą wiedzą rolniczą i środkami, którymi dysponujemy w naszych pracach”.

Czyż nie tak odpowiedziałbyście burżuazyjnemu oszukańczym profesorowi wy, obywateli Stanisława Bogotu z Filipówki pow. Kętrzyń? Wszak Bogota udowodnił swoją praktyką, że przyroda nie jest bynajmniej skąpa, jeśli wie się, jak zmusić ją do służenia ludziom. Bogota posłał na odlogach len. Dzięki mądrej i odpowiedniej pielęgnacji osiągnął z 1 ha — 41 q. W tym czasie u sąsiadów z powodu suszy i pchełki plon wyniósł 1,5 do 3 q z 1 ha.

Czy inna jest przyroda dla Bogoty, a inna dla jego sąsiadów? Czy dla Bogoty jest matka, a dla sąsiadów macocha? Nie. Tajemnica tkwi w tym, że Bogota jest mądrym rolnikiem, a jego sąsiedzi jeszcze nie osiągnęli jego poziomu. A przyroda? Cóż, przyroda, jak i maszyna: albo umiesz się z nią obchodzić — i wtedy służy ci gor-

liwie i wiernie, albo jest nleczuła i obojętna na twoje prośby — gdy nie wiesz, jak z nią poczynać i czym ją sobie zjednać.

A czy wy, ob. Bogotu, uważacie, że już osiągnęliście pułap w urodzaju lnu, że już nie da się wyciągnąć więcej z ha? Wiem, że odpowiecie: „W przyszłym roku na pewno wyciągnę więcej”. Jakże ma Bogota odpowiedzieć inaczej, jeśli już w bieżącym roku na poletkach doświadczalnych w swoim polowym laboratorium osiągnął: na pierwszym poletku — 10,5 q z ha, na drugim — 35 q, na trzecim — 56 q, a na czwartym — 80 q. Gdzie tu górny pułap dla lnu? W miarę jak będzie rosła rolnicza wiedza Bogoty, wzrosnie wydajność lnu, pszenicy, buraków cukrowych, wzrosnie też mleczność krow itd.

Nie inaczej w praktyce rozprawa się z reakcyjną teorią o rzekomo malejącej wydajności gleby. Golar z Kiersztanowa w pow. mragowskim; dzięki pracom doświadczalnym kółka miczurinowskiego w jego wsi doszedł on w bieżącym roku do 700 q buraka cukrowego z 1 ha. Powiedźcie nam, ob. Golar, czy założycie ręce na brzuchu i nie zaatakujecie przyrodę, by dała nam jeszcze więcej niż 700 q z 1 ha? Na pewno zaatakujecie! Gdzie więc dla Golar i kółka miczurinowców z Kiersztanowa skąpstwo przyrody? Gdzie dla nich górny pułap, którego nie da się przekroczyć?

Czy ob. Józef Ejsmunt z Czarnej Wsi w pow. białostockim uwiery w bzdurę o zmniejszającej się wydajności gleby, jeśli po doświadczeniach ląkowych sprząta dziś z kawałka łąki 6 wozów siana, podczas gdy przed doświadczeniami sprzątał, co najwyżej dwa? Czy to przyroda była wtedy skąpa dla Ejsmunta? Nie. Wiedza o potrzebach życiowych trawy była u niego niewielka. Poprawiła się wiedza, zmieniła się zabieg pielęgnacyjny, zmienił się plon. Przyroda słucha Ejsmunta i służy mu.

Burżuazyjna teoria, głosząca, że ziemia w Polsce nie chce rodzić, upodobala sobie jako przykład do wiodowy ziemię kurpiowską; 7 — 10 q zboża z ha to „norma” kurpiowska. A Bolesławowi Samulowi ziemia ta daje już 18 — 20 q z ha. To nie przypadek, nie kaprys przyrody, lecz mądrość i zapobiegliwość Samuła osiąga na stosunkowo lichej ziemi kurpiowskiej tak dobre wyniki.

Niech przyjdzie taki zwolennik teorii o skąpstwie przyrody do Jana Marko z Kontowa w pow. kwidzińskim i powie, że przyroda jest skąpa i dlatego nie można sprzątnąć tyle ziemniaków, ile potrzebują ludzie w okolicy, czy w kraju. Wtedy Marko powie: „Głupstwa pan pleciesz, jeżeli bowiem będę miał środki, jakie według moich doświadczeń potrzebne są do dobrej uprawy ziemniaków, podejmuję się osiągnąć nie 90, czy 120 q z 1 ha — jak to ma miejsce u większości chłopów — ale sprzątnę 300 — 350 q, a nawet więcej. Nie wierzyacie? W bież. roku na poletkach osiągnąłem: gatunek „Pionier” — 360 q z 1 ha, „Bałtyk” — 410 q, „Bem” — 450 q, „Dese” — 480 q, „Dar” — 530 q. Jeszcze trochę doświadczeń, a mogę mieć takie wyniki nie na poletkach, ale w praktyce na wielkich obszarach.

### II

Utarło się tu i ówdzie niesłuszne przeświadczenie, że miczurinowcem jest ten, kto potrafi osiągnąć pozytywny wynik z krzyżowania rp. marchwi z koprem, pszenicy z żytem, ziemniaka z pomidorem, lub chrzanu np. z tulipanem. Przeprowadzenie krzyżowania roślin różnogatunkowych jest oczywiście rzeczą bardzo ważną — i nie powinno się go lekceważyć nawet w wypadku, jeśli takie uświadczenia nie zostały uwienczone pozytywnym rezultatem.

O wiele jednak ważniejszą sprawą na dzisiejszym etapie naszego rozwoju jest rozważanie takich spraw, które mogą trwale i stale podnosić urodzajność gleby, plen-

ność roślin, zwiększenie ich urodzaju, uszlachetnienie odmian dziesiąt uprawianych roślin, doskonałe wydajności zwierząt, ich zdrowia, plenności, oszczędności ludzkiej pracy, doskonałe maszyn i narzędzi rolniczych, doskonałe jakości surowców roślinnych i zwierzęcych. Miczurinowcem w tym ujęciu — jest ten, kto w jakikolwiek sposób przyczynia się do opracowania metod, przy pomocy których trwale możemy zwiększać wzrost wydajności gleby, roślin i zwierząt.

I jeszcze jedno: ten rolnik, jest miczurinowcem, który podnosząc plon na swoim gospodarstwie, swój pomysł, swoje doświadczenie sprawdza w szerokiej praktyce rolniczej, który uczy innych swojej metody, przyczynia się w całej gromadzie do podniesienia urodzajności gleby, plenności roślin, ich plonowania, do zwiększenia produktywności zwierząt, do przysporzenia im zdrowia, do podniesienia jakości produkcji itd.

### III

Nie ma takiej gromady, nie ma takiej spółdzielni produkcyjnej, której pola byłyby takie same. Każde więc z nich wymaga swoistej uprawy. Należy zatem wypróbować, jakie to zabiegi dają na danych polach najlepszy plon. Niesłychanie ważnym zadaniem w badaniach miczurinowców jest robenie doświadczeń uprawowych, wyciąganie wniosków dla praktyki rolniczej w swojej wsi. Miczurinowcy powinni wybrać najlepszy sposób uprawy, wypróbować go na wielu polach produkcyjnych i w końcu — powszechnie zastosować.

Inny, ważny temat. Co zrobić, by nasze piaszczyste gleby (dotyczy to większości powiatów woj. olsztyńskiego i białostockiego), lepiej niż dotychczas rozdziły i dawały coraz lepsze ziarno. Jest to zagadnienie niesłychanie dużej wagi. Czy można to osiągnąć? Oczywiście. Wszak na piaszczystych polach, o lichej urodzajności oglądamy piękne, o soczystej zieleni ogródki. Znaczy to, że przez umiejętne sto-

sowanie kompostu z obornika, torfu, chwastu i wapna — można znacznie podwyższyć jakość gleby i osiągnąć na niej kilkakrotnie wyższy urodzaj okopowych czy zbóż. Dlaczego kompost spotyka się tylko u ogrodnika, dlaczego w Białostockiem, czy Olsztyńskiem niewiele rolników stosuje taki święty nawóz, jakim jest torf — mimo, że u nas torfu w wielu okolicach jest pod dostatkiem? To są przecież rezerwy, które mogą w znacznym stopniu podnieść produktywność naszych gospodarstw chłopskich, są to rezerwy, o uruchomieniu których mówił w Szczecinie B. Bierut.

Równie ważna dla naszych północnych terenów jest sprawa bazy paszowej. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że województwa olsztyńskie i białostockie, a w dużym stopniu i woj. gdańskie, stanowią teren, na którym ma się rozwinąć przede wszystkim gospodarka hodowlana. Państwo nasze czyni ci-brzymie inwestycje zmierzające do przygotowania warunków do tego typu gospodarki. Osiągnięcia są już duże. Wystarczy wspomnieć, że dotychczas w Białostockiem przeprowadzono meliorację na obszarze 27 tys. ha łąk; że już zagospodarowano 22 tys. ha nie użytkowanych przedtem bagien; że projektuje się i prowadzi gigantyczne prace melioracyjne w dorzeczu Biebrzy; że nakłady inwestycyjne na melioracje wzrosną w 1955 r. o 70 proc. w porównaniu z 1953 r.

Działalność Państwa musi wyjść naprzeciw twórczo inicjatywą terenu. O co chodzi w tej sprawie, w sprawie bazy paszowej?

W pierwszym rzędzie chodzi w naszych województwach o poplony ozimych, dających z reguły duże zasoby paszowe dla zwierząt w postaci zielonki i kiszzonek, a także doskonale stanowisko pod ziemniaki i inne rośliny krzeniolowe, lub kukurydzy. U nas poplony nie udają się. Zatem co zrobić?

Trzeba wyhodować taki gatunek poplonów, żeby się w naszych wa-

runkach udawały — oto cała filozofia.

A sprawa nasieniactwa dla bazy paszowej, dla doboru odmian najbardziej odpowiednich roślin pastewnych i w ogóle wszelkich roślin uprawnych. Dla naszego północno-wschodniego rejonu jest to zagadnienie niesłychanie ważne, ważniejsze od krzyżowania pomidorów z ziemniakami. Dzieją się bowiem w tej sprawie bardzo przykre rzeczy. Przerzuca się nasiona z jednego rejonu Polski w drugi — zupełnie różny pod względem swoich właściwości przyrodniczych. Wynik takiego przetrzutu jest wręcz fatalny. Rośliny w uprawach idą źle, dają plon mały, wymarza, giną. Każdy rejon rolniczy, między nimi i nasz, winien prowadzić własną reprodukcję nasion, winien rozmnożyć odmiany odpowiednie dla tego rejonu, uszlachetnić te odmiany, przystosować je do miejscowych warunków środowiskowych.

Miczurin mówił, że roślina, która nie będzie wyhodowana we własnym rejonie, nie będzie dawała odpowiednich plonów. Trzeba zatem w pracach naszych kół miczurinowskich brać pod uwagę selekcję roślin, odpowiedni dobór roślin, odpowiednią ich odmianę. Oto zadanie dla was, miczurinowcy.

Czy możemy wykonać te zadania? Tak, jeśli masom chłopów zdejmiemy z oczów nałożoną przez feudalizm i kapitalizm kataraktę, która nie pozwala im dojrzeć marnotrawienia tytu niezwykłe cennych materiałów w ich gospodarstwach. Któż ma dokonać tej operacji? Wy. Bo masy chłopskie patrzą na Was, naśladują Was, szanują Was, mają do Was zaufanie. Wy powinniście nie tylko świecić przykładem, ale i bezpośrednio, przez rozmowę, przez prowadzenie samokształcenia wpływać na szerokie masy pracujących chłopów, by zrywali z ciemnotą i zacołaniem, by uruchamiali tkwiące w ich gospodarstwach rezerwy.

Dyzma Gałaj

\*) Fragmenty z referatu na Zjeździe w Olsztynie chłopów-miczurinowców północnego rejonu (Olsztyńskie, Białostockie, Gdańskie).

**S** EKRETARZA Komitetu Gminnego Partii odwiedziłem w drugim dniu pobytu w gminie. Zdążyłem już zebrać sporo faktów, a nawet naszkicować część raportu. „Reportaż” co prawda przypominał artykuł sprawozdawczy, wypchany liczbami i informacjami. Z takiego obrotu rzeczy sam byłem nierad. Pewnie dlatego, po wstępnej rozmowie, dałem sekretarzowi Tomaszewskiemu swój szkic do przejrzenia. Oczekiwałem, że albo przytaknie, albo powie coś ciekawego i rozluźni naładowane jak do worka fakty.

Pierwszą dla mnie niespodzianką było to, że sekretarz Tomaszewski przysiadł nad moim szkicem i przeczytał go chyba za trzy razy, znacząc niektóre miejsca ołówkiem. Potem podsunął mi tekst i poprosił abym zakreślił fragmenty przejrzał:

Oto one:

1. „Stanisław Miesiał był w ubiegłym roku ukarany aresztem za dewastację gospodarstwa i sabotażem obowiązkowych dostaw. Powiadają o nim, że udaje „wariata”, bo w rzeczy samej chytry lis. Przytył się do 9-hektarowego gospodarstwa po starym Stodolnym, który do śmierci prowadził je wzorowo.

Miesiał w szybkim tempie zaczął spychać gospodarstwo do ruin. Brał np. na wóz przygotowane ziarno do siewu (8 q) i jechał do Ostrowa na rynek! W Ostrowie dogoniła go żona i wśród kłótni z pomocą sąsiadów, zawróciła wóz, aby zboże zasiać; mąż tymczasem pił trzy dni w miasteczku. Kiedy Miesiał odsiadywał w areszcie karę, gromada, pamiętając o rzadności gospodarki Stodolnego, udzieliła jego córce (Zonie Miesiał) pomocy sąsiedzkiej. Miesiał wrócił pod koniec zniw i zaczął gospodarowanie... od sprzedania wirówki i innych maszyn; pozbył się też krowy, zostając przy jednej.

kowego skupu nie wywiał się nawet w części. Gospodarstwo dewastuje świadomie, doprowadzając do tego, że nie ma ani zboża na skup, ani takich rezerw w gospodarstwie, z których można by sciągnąć zadłużenie. Do ludzi powiada niefrasobliwie i chytrze: „Nie mi nie zrobią, bo państwo przecież nie chce rujnować gospodarstwa”.

2. „Stanisław Marek miał w planie 6034 kg zboża; odstawił dopiero 1118 kg. Mimo wielokrotnych odwiedzin aktywistów, więcej nie dał. Dziwi to ludzi, bo Marek ma syna w średniej szkole w Krotoszynie, córka zaś wyszła za mąż do miasta. Stary w ten sposób pojmuje sojusz robotniczo-chłopski, że chcąc wysłać córce i wywozić do miasta produkty”.

3. „Błażej Spakula — 40-hektarowy kułak; z 38 ton zboża oddał tylko 12, tłumacząc się przebiegłością, że w Mrokach Dolnych mrozy wiosenne zniszczyły zboże, dlatego ma trudności razem z mało- i średniorolnymi”.

Wybrałem te trzy informacje, bo u was, towarzyszy, chodzi o one luzem, gdy w rzeczywistości związane są w supel. I to jeszcze jakie!

Tak mniej więcej zaczął mówić sekretarz, kiedy podniosłem oczy znad zakreślonych fragmentów.

— U was najmniej danych o kułaku Spakule. „Odstaw nie wykonał. Tłumaczy się — i ma za sobą pozory usprawiedliwienia”. Tyle tylko. A czy wiecie czyja ręka pochnęła do dewastacji Miesiał i do oporu Marka? Jego! Co Miesiał gada? „Nie mi nie zrobią, bo państwo nie chce rujnować gospodarstwa”. Kto mu podsunął te słowa? Spakula. Ale na świat wyszły one z ust Miesiał. To koronkowa robota! Spakula nie gorzej od was obenił Miesiał; pijak; dostał się lekko „na ciepły piec”; charakter saby; Spakula więc zaczął go pchać na dno upadku. „Baw się, trać — drugi raz ci nie posadzą i z gospodarki niczego nie ściągną, bo będzie szło o człowieka do pracy i o produkcję z ziemi”. Czy Spakula w to wierzył? Nie! On dobrze wiedział, że za dewastację czeka Miesiał sąd a gospodarstwo stanie na nogi bez rządów Miesiał. Szło mu o co innego; o to, aby Miesiał tak gadał, jak zięćie to

PIOTR GUZY

## KUŁAK

zapisali, aby w ludziach choć przejściowo (właśnie w okresie skupu) zbudzić wątpliwość. Niech myśla: „człowiek tu ma prawdziwe i niezawinione trudności, a taki niszczy gospodarstwo i kara go nie dosięgnie”.

Któż to Markowi tak objaśnił sojusz robotniczo-chłopski? Spakula... Nie damy na skup — nie będzie miało miasto. Czy tak należy robić? Nie! Tam są twoje dzieci. Daj im. To dopiero sojusz. Wiesz komu, wiesz — na co. Daj tak, żeby mogli zahandlować; będą też mieli inni. Przecież to nie podarunek, tylko sprzedaż...

— To taka z niego cicha sprężyna? — wykrzyknął pełen podziwu dla sekretarza. Widziałem Spakulę. Niski, włosy na gładko przyczesane, przyjemny wyraz twarzy. Musiał być w młodości przystojny. Opowiadali mi, że miał się wtedy żenić z córką dziedzica w Śrubikowie...

— Otóż to: pański dyplomata! A taki się pilnuje, gra prowadził dyskretnie. Co zamysł, przez innych, jak przez megafony puszcza. A dopasowuje plotki posunięcia do ludzi tak, że wam nawet nie przyszło do głowy pytać przy Miesiał i Marku — kto tych aktorów sztuczki wyuczył? Kto ich podszył — każdego na inny sposób? Bo myślicie, że on odsłonił tam ostatnią kartę? Tam jeszcze nie. Wiedział, że Marek ma ciagotki na podkułaczanie, ale sojusz go trzyma. Podsunął mu wybieg: sojusz rzecz święta, ale weź go na rozum. I stary Marek skombinował: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek!

— To znaczy, że nie łatwo takiego drania zdemaskować?

— A nie łatwo. Ale trzeba! Bo mało złać opór Spakuli. Z tym on się liczy. I w ostateczności rachuje, że wytniemy jego zaległości, jak się grzyb wycina. A wtedy nie wyrwiemy grzybni, którą on zakrzewił w gromadzie i dalej. My zaś powinniśmy razem z grzybem poderwać całą grzybnie — to dopiero zdemaskuje Spakulę! Wówczas i Marek powie, kto mu radził wziąć kurs na „rodzinny sojusz”.



Walerian Borowczyk

Sekretarz zapalił papierosa. Nie wyglądał na zdenerwowanego ani przygnębionego; uśmiechał się.

— Pewnie macie już w ręku fakty, które Spakulę... — zacząłem.

— Tak, mamy. Opowiem wam dlatego, że w gazetach najczęściej piszą o nim o krećle robcie kułaków, a w faktach — jak to wyszło z niego — macie najwięcej do powiedzenia o średniakach.

Od czego się zaczęło? Przyszli do mnie pięć dni temu Jan Cieślak — formal Spakuli, który zalega Cieślakowi z trzymiesięczną wypłatą na 540 zł. Z tym przyszedł. Do Związku Zawodowego Pracowników Rolnych nie należy. Obiecałem interweniować, a przy poźegnaniu zagadnąłem.

— A jakże tam ze Spakulą? Planu nie dociągnął nawet do 30 proc. Powiedźcie: ma on zboże?

— Siał, zbierał to chyba ma — odpowiada ostrożnie Cieślak. — Ie, nie wiem. Kiedy młócił, byłem chory, ale żona mówiła, że nieźle sypało.

— A ona skąd wie? — Bo za mnie musiała pójść robić... Jak sobie wspominał żonę, pewnie już wygarnął resztę. — Ma zboże, nie dajcie się nabrać. Przed-

wczoraj jeździł z 5 cetnarami do młyna. Sam ładowałem.

— Po co?

— Do śrutowania.

— Przecież ma własny śrutownik.

— Ale mu się popsuł... A w zeszłym tygodniu sprzedał Walczakowi 3 cetnary.

— Byliście przy tym?

— Nie, on mnie na takie sprawy nie świadka nie bierze. Słyszałem o tym.

Był przy tej rozmowie obecny nasz komendant milicji, kpr. Płonikowski. Po odejściu Cieślaka Płonikowski po iada: kuć żelazo, póki gorące.

Kuć według niego znaczyło jechać do młyna i do Walczaka. I pojechał. Za powrotem coś się okazało? Walczak przyznał, że kupił od Spakuli 3 cetnary żyta po 180 zł za metr. A w młynie? Zajeżdża Płonikowski. Młynarz Michnik wylewnie go przyjmuje.

— Przy okazji pokażcie książkę przychodową. — Przewrócił niedbale zabrudzone kartki; nazwiska Spakuli nie znalazł.

— Każdą robotę wciągacie do książki?

— Każdą; taki przepis. Ładnie bym wyglądał, gdyby w niej coś brakowało! Na to tylko czekają!

— Kto?

Młynarz poczerwieniał, poczuł, że zabrał. Płonikowski uśmiechał się, że nie dostrzegł zamieszania.

Macie więc: sprzedaż przed skupem i kryminalna sprawa z Michnikiem. U młynarza otworzył Spakula wszystkie karty.

W tej chwili do gabinetu sekretarza wszedł komendant MO — Płonikowski. Młody, o śmiałej i wesolej twarzy.

— Spakula wczoraj odstawił 20 ton zboża. Co wy na to? Sekretarz zamrugał powiekami.

— Taki lis? Zwietrzył nagonkę?

— I tak, i nie, ale... — komendant zmierzył mnie od stóp do głowy i zatrzymał wzrok na sekretarzu.

— Sprawdzalem, to towarzyszy-dziennikarz. Właśnie dopiero co opowiedziałem mu o Spakuli. Macie nowe informacje? Siadajcie...

— Teraz komendant Płonikowski uśmiechnął się szeroko. — Dzisiaj rano pełnomocnik skupu oznajmił mi, że wciągnął na listę dwa kwity Spakuli, jeden na żyto,

drugi na jęczmień, oba po 10 ton. Dziś rano spotkałem Cieślaka — Spakula wypłacił mu już należność. Piękne wiadomości; za piękne jak na jeden dzień. Znaczy — zmociałem — nasz „dyplomata” zaciera gwałtownie ślady. „Uprowadza natarcie”... Tak to sobie nazwał i nagle mi się rozjaśniło.

Jeśli uprzęda, to znaczy, sam podstępnie naciera. I reputację chce uratować, i nową sztukę wyciąć. Zajądłem kwitów. I z kwitami do GS.

— Macie w księżce?

Magazynier długo rubryki przeglądał, wreszcie powiada: żyto jest, jęczmienia... u mnie nie ma.

— Jeśli kwit jest, to musi być gdzieś kupia i w księżce odnotowane.

— U mnie nie ma.

— To jak Wierzbak, wytłumaczycie, wasz podpis na kwiecie? — Wziął pod światło i zaśmiał się.

— Data wczorajsza, a ja wczoraj byłem służbowo w powiecie.

— Kto was zastępował?

— Korczak.

Ten powiada, że podpisywał kwit na żyto.

— A jęczmienia Spakula nie oddawał?

— Mnie nie.

Poszedłem do kierownika. Nie wiedział o riczym.

— A Wierzbak był wczoraj w powiecie?

— Był... Co do niego, mogę nadmienić, że żonę ma z domu Spakulównie.

Już byłem z powrotem w buchalterii; po Wierzbaku ani śladu.

— Uciekł?!

— Niedaleko. Rozdzwoniłem. A resztowano go w Ostrowiu na rynku. Po chwili milczenia, sekretarz podniósł się i uściłnął rękę komendantowi.

— Oto i macie — zwrócił się do mnie — taki kawał grzybni, który na zebraniach gromadzkich zdecyduję o przelomie. Tak trzeba: szeroko i do samych korzeni demaskować najbardziej zakonspirowanych szkodników. Niech ludzie zobaczą pod maską ogólnego kułaka krećle robotę, kryminalne przestępstwa i demoralizację straszliwą. Już on ludzi zalał i zdeprawował! I jakże takiego nie izolować, jakże od niego nie trzymać się z daleka? Przecież to dzuma!

Dyzma Gałaj

Piotr Guzy

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

## Domagała jedzie na wieś

**N**AZWISKIEM Domagała można objąć dziesiątki tysięcy młodziarzy chłopskiej, która przychodzi ze wsi do miasta, do pracy w przemyśle włókienniczym, gumowym, papierniczym, garbarskim, metalowym i in. Łódź przyjmuje z otwartymi ramionami nowych przybyszów, szukających zatrudnienia, nauki, fachu, zarobku.

Sprawy pierwszego nieraz w życiu zetknięcia się tej młodzieży z nieznanym wielkim miastem, sprawy znalezienia mieszkania, pokonywania przeszkód w zdobywaniu nauki i zawodu, sprawy nienadania życia z życiem kulturalnym w porównaniu z szybkim tempem zdobywania częstokroć wysokich kwalifikacji zawodowych — to sprawy ważne. Tematem tego szkicu jest jednak inna, niemniej ważna sprawa — sprawa wyjazdów Domagały na wieś.

Jak wiadomo — w myśl specjalnego zarządzenia Prezesa Rady Ministrów, zaświadczenie Gminnej Rady Narodowej stwierdzające, że obowiązujący do dostaw właściciel gospodarstwa wiejskiego potrzebuje rąk do pracy w czasie akcji żniwnej lub kopania kartofli — otwiera jego dzieciom, rodzeństwu i krewnym ze wsi, drogę do specjalnego, dodatkowego urlopu.

Domagała odchodzi więc od swego warsztatu pracy w przemyśle i spieszy na wieś do rodziny, aby przy pracy — w polu i w gospodarstwie — pomóc jej w terminowym i sprawnym wykonaniu dostaw obowiązkowych.

W tym czasie krosna, obrączkowe lub samoprzające, opuszczone przez Domagałę, mają przymusowy postój. Zakłady przemysłowe, pozabawione znacznej ilości robotników pochodzenia chłopskiego, stają w okresach dodatkowych, pozaplanowanych urlopów żniwnych lub wykopkowych — przed groźbą niewykonania planów miesięcznych.

Zagadnienie to w niektórych zakładach przemysłowych na Ziemiach Zachodnich nabiera dużej ostrości. Występuje ono poważnie na przykład w Dzierżonowie w Zakładach Przemysłu Bawelnianego 22 Lipca, gdzie do urlopów „żniwnych i wykopkowych” dochodzą urlopy „buraczane” z racji akcji cukrowniczej. Od lipca do września walczy o około 30 proc. zalogi przedziału ZPB im. 22 Lipca przebywa na pozaplanowanych urlopach „żniwnych”, wykopkowych i buraczanych.

Wykonanie planu produkcji staje, naturalnie, pod znakiem zapytania.

— No cóż: jedźcie, towarzyszu Domagała, skoro tam jesteście potrzebni — mówi po namyśle sekretarz Rady Zakładowej, obywatel Misiewicz z Zakładów Przemysłu Bawelnianego im. Cz. Szymańskiego w Łodzi. — Ale na przyszły rok musimy to zaplanować inaczej.

W trosce o przedterminowe wykonanie planu ob. Misiewicz obmyślił następujący sposób rozwiązania tego trudnego problemu:

Doświadczenie uczy, że robotnicy i robotnice pochodzenia chłopskiego niechętnie i mało korzystają z wyjazdów na wczasy w ramach Funduszu Wczasów Pracowniczych. Ludzie ze wsi, pracujący w przemyśle, wyjeżdżają na urlopy wypoczynkowe raczej do rodzinnych wsi. Ponadto, w czasie pobytu w domu przybywszy z miasta nie siedzą z założonymi rękami, nie chodzą na spacer do lasu, nie plażują, nie grają w siatkówkę; ich sposób spędzania urlopu odbiega od wypoczynku setek tysięcy wczasowiczów w uzdrowiskach, nad morzem, w górach.

Nasi ludzie z fabryk pomagają rodzinom przy pracy w polu i w gospodarstwie, harują na tym albo urlopie, pracując ciężko, od świtu do zmierzchu. A zatem — rozumie dalej sekretarz Rady Zakładowej — można za jednym zamachem: a) usunąć niesprawiedliwość, jaką w oczach robotników, nie mających rodzin na wsi, jest korzystanie z urlopu wypoczynkowego, a później — jeszcze z dodatkowych urlopów „żniwnych i wykopkowych” przez ludzi ze wsi i b) zapobiec trudnościom i niebezpieczeństwom niewykonania planu przez zakłady przemysłowe w miesiącach wzmoczonych robót na wsi. Trzeba tylko zaplanować, że rok 1954 urlopy w ten sposób, żeby terminy wczasów dla pracowników w przemyśle ze wsi zbiegały się z terminami akcji żniwnej, wykopkowej i buraczanej, a więc — w miesiącach od lipca do października. Trzeba, jednym słowem, skumulować urlopy wypoczynkowe ze „żniwnymi”, „wykopkowymi” i „buraczanymi”.

Rozumowanie to wywołuje zastrzeżenia. Po pierwsze: — nie można się godzić i uświadczać unikania przez ludzi ze wsi wyjazdów na wczasy w ramach akcji Funduszu Wczasów Pracowniczych. Po drugie: — nie wolno uogólniać i rozciągać na wszystkich pracowników pochodzenia wiejskiego, pomagających w czasie urlopu rodzinom przy pracy w gospodarstwie rolnym, zasady rzymskiej „Volenti non fit iniuria” (chcącemu nie dzieje się krzywda).

Prawem każdego obywatela w naszym państwie ludowym jest możliwość wykorzystania wypoczyn-

ku w taki sposób, w jaki to każdemu najbardziej odpowiada.

Rozumowaniu więc ob. Misiewicz trzeba przeciwstawić inny pogląd, oparty o zasady sojuszu robotniczo - chłopskiego.

Skoro towarzysze ze wsi wyjeżdżali na dodatkowe urlopy „żniwne lub wy” kowe”, celem ułatwienia rodzinom prac w gospodarstwie i terminowego wykonania obowiązkowych dostaw produktów rolnych do miast — pozostali przy warsztatach towarzysze powinni zmusić wyjadźność swęj pracy, żeby nie dopuścić do zalamania planu w miesiącach letnich i dostarczyć chłopom wyrobów przemysłowych w ilościach zaspokajających zapotrzebowanie wsi.

Pogląd ten znajduje uzasadnienie w postulatcie sformułowanym przez Przewodniczącą KC PZPR na IX Plenum: „Chodzi o to, aby każdy chłop matorny i średniorolny rozumiał, że najżywniejszą odpowiedzią jego interesom CALOKSZTALT polityki ekonomicznej państwa ludowego w stosunku do chłopskiej gospodarki, polityki pogłębiania spójni gospodarczej między miastem i wsią. Calokształt tej polityki obejmuje zarówno pomoc produkcyjną ze strony państwa w postaci właściwego zaopatrzenia w maszyny rolnicze, narzędzia, budulec, nasiona itp., kredyty na zakup krów dla matorolnych, usługi POM i GOM, pomoc agrotechniczną i weterynaryjną, jak i chłopskie dostawy obowiązkowe artykułów rolnych...”

Dlatego koniecznym jest, aby z kolei chłopci zdawali sobie sprawę na jak wielki wysiłek zdobywała się klasa robotnicza, kiedy część (do 30 proc.) robotników pochodzenia chłopskiego zwalnia na okresy żniwne i wykopkowe dla bezpośredniej pomocy w produkcji rolnej. W tym bowiem czasie walczy bezpośrednio na dwóch frontach równocześnie (w gospodarstwach indywidualnych i fabrykach) o wyciążenie planu rolnego i przemysłowego, walczy więc o calokształt polityki ekonomicznej państwa ludowego — mimo, że na własnym odcinku umniejszonymi przeciw siłami.

Ta wielka lekcja patriotyzmu klasy robotniczej powinna pogłębić miłość pracujących chłopów do robotników, powinna pogłębić poczucie odpowiedzialności chłopów za rozwój i podniesienie produkcji rolnej.

W samym zaś przemyśle towarzysze z miasta o większym wyrobieniu społecznym, powinni: pomóc robotnikom pochodzenia chłopskiego w zrozumieniu sojuszu robotniczo - chłopskiego, umocnić ich w postawie obywatelskiej, ułatwić im zrozumienie znaczenia dyscypliny pracy.

Władysław Rymkiewicz

ERWIN STRITTMATTER \*)

## T I N K O

**D**ziadek nie zawsze był rolnikiem. Kiedy opuścił szkołę, ojciec Christian wysłał go do murarzy. „Nie będziesz przynajmniej musiał całować pałami von Buckowitza po rękach!” — mawiał pradziadek. Dziadek poszedł na budowę, mieszał wapno, dźwigał cegły, odsiewał piach. Zarobił sobie na plecak, kielnię i poziomnicę. Po trzech latach kupił trzy litry wódki. Ci, którzy wódkę wypili, uczynili dziadka czeładnikiem.

Dziadek powędrował z murarzami do miasta, gdzie budował fabryki i wille. Tam — jak wspomina — „poczerwiał”. Dziadku, gdzie był czerwoną? — pytam. — Tego się nie widzi, ty żółto-dziobie. To jest wewnętrzne...

Każdego rana maszerował dziadek trzynastą kilometrów do miasta. Wieczorem lał te trzynastą kilometrów z powrotem. „Miałem ochotę biec do domu, jak jeleń” — opowiada dziadek. — „Musiałem okropnie uważać, żeby inni nie przychodzili do Minny.” Minna — to moja babka.

Babka otrzymała w wianie od swych rodziców dwie morgi gruntu. A w wszystkich pradziadkowie mieli osiem morgów. Dziadek zaraz zapuścił korzenie na tych dwóch morgach. Przeszedł chodząc z murarzami do miasta. Postarał się o pracę murarza w hucie szkła w Sandberge. Teraz każdego ranka kłusował tylko cztery kilometry. Wracając wcześniej do domu i pomagał babce.

Cegłę na domek przywoził sobie dziadkowie z cegielni wódkiem, który ciągnął sami. Później urodził się chłopcy. Najpierw Ernst, to znaczy „przybysz”, ten który powrócił i siedzi teraz tam u dziadka i przysłuchuje się jego chępliwym opowieściom.

Później przyjeździł Matthes. Znam tylko fotografie wujka Matthesa. „Ciagle jeszcze byłem bardzo czerwoną; znosił mnie tylko ci na wsi, którzy też byli czerwoni. Do krośset!” — opowiada dziadek.

Dziadek i ci, którzy też byli czerwoni, założyli czerwony Związek. Był to czerwony Związek Miejskowy. Dziadek został przewodniczącym, ponieważ powąchał trochę miejskiego powietrza.

Później w Miejskowym Związku nastąpił krach. Dziadek przestał być przewodniczącym, został — jak mówi — członkiem zwyczajnym. Dziadek chciał być wolnym człowiekiem. Inni w Związku chcieli

\*) Erwin Strittmatter — autor powieści „Tinko”, której fragmenty drukujemy, przeżył bardzo ciekawą i charakterystyczną dla naszych czasów drogę. Jeszcze niedawno był robotnikiem rolnym. W nowych warunkach, sprzyjających stalemu i wszechstronnemu rozwojowi udziałowi człowieka w NRD, zaczął pisać opowiadania. Zwrócił one uwagę na ich autora.

Obecnie Strittmatter pracuje nad wykończeniem powieści „Tinko”, w której pragnie ukazać przemiany zachodzące w chłopstwie niemieckim w NRD w pierwszych latach po zwycięstwie odniesionym nad hitleryzmem.



M. Walentyńowicz

tego samego i dziadek im pokazał, jak się to robi; ale oni byli zbyt nieporadni.

Murarz na folwarku pana von Buckowitza porzucił pracę. Placono mu niżej umowy. Dziadek poszedł do pana von Buckowitza i rzekł: „Gdyby mi pan wydzierżawił kawałek ziemi, panie dziadku, mógłbym po fajerancie pracować dodatkowo w pańskim kramie”. Dziadziec się zgodził. Wydzierżawił dziadkowi cztery morgi jałowych nieużytków.

Dziadek znalazł się na najlepszej drodze, by zostać niezależnym gospodarzem. Po fajerancie biegł na folwark i murował, co było do murowania. Każdy strajk w hucie szkła był mu bardzo na rękę ze względu na pracę w folwarku. W ten sposób składał na dzierżawę swych czterech morgów. Przy białym księżycu raczkował po swych zagonach. Pracował.

Przysła wojna.

Dziadek nie był zwolennikiem wojny. Przed dwudziestu laty sam patrzył na koniec pierwszej wojny, jako uczestnik polspolitego ruszenia. Gdy radio bełbno i napaści wojsk Hitlera na Polaków, w powiadał zdania, że „jesteśmy prawdziwymi mordercami!”. Później, gdy została podbita Francja, mówił: „Niemiec — to jednak poaga”. Jeszcze odrobnie później powiedział: „Wydaje mi się, że zdołaliśmy tyle ziemi, że nie powinno już chodzić o te cztery morgi!”. Powiedział to baronowi von Buckowitzowi, który kazał dziadkowi przyjść do siebie, by mu zakomunikować, że znów mu jest potrzebny każdy skrawek ziemi. Oczywiście, baronowi było wiadomo, że dziadek te cztery morgi ugorów zamienił w ładny kawałek gruntu. Dziadek oddałby duszę za pozostawienie tego kawałka ziemi. Baron był jednak wielkopański i uprzejmy: ziemi mu nie zostawił.

Przez Märzdorf ciągnęli żołnierze radziecy. Dziadek schodził im z drogi, gdzie tylko mógł. Paś swo-

ją krowę. Babka gotowała dla żołnierzy. Paszy dla krowy było pod dostatkiem. Dziadek miał do dyspozycji łąki i pola pana von Buckowitza. Wyszukiwał najlepsze, z najobfitszymi trawami miejsca dla krowy Motriny. Gdy wracał do domu, wyskrobywał resztki strawy z garnków babki. Czekal na zdarzenia, które miały przyjść. I przyszły.

Zaprowadzono dziadka do komendanta. Komendant wypyttywał dziadka przez tłumacza. Na pytanie, czy był hitlerowcem, broniąc się, podniósł ręce: otrząsnął się jakby go oblażył wście. Dziadek miał zostać burmistrzem. Dlaczego nie? Będzie miał przynajmniej zajęcie, póki nie znajdzie się jakaś odpowiednia praca. Zdjął ze strychu starą fotografię Związku Miejskowego i znowu ją zawiesił w izbie sypialnej. Niech teraz każdy ogląda od jak dawna walczyli dziadki o sprawiedliwość między ludźmi.

Ludzie powoli wracali na wieś. Wszystko zaczęło się kręcić na nowo, a dziadek musiał biegać, fukać, pisać.

Pierwszym „przybyszem”, który wrócił z radzieckiej niewoli, był Paule Wunsch. Dziadek zaczął mu opowiadać o swęj walce o sprawiedliwość. Zapomniał tylko, że Paule Wunsch, jako młokos, należał do Związku Miejskowego. Ale Paule wyrzucano: był zbyt czerwony. Tak czerwony, jak komunista. Paule Wunsch mrugał lewym okiem i odpowiadał: „Wiesz, wiem. Już kiedyś chciałem tak po swojemu wywłaszczyć barona”.

Dziadek nie bardzo wiedział, co ma sądzić o tym stwierdzeniu. Stara nieufność do Paule znów w nim narastała. Ale i Paule, i dziadek zaczęli już — wraz z innymi — rzeczywiście dzielić ziemię barona von Buckowitza.

Dziadek wiezie pełen wóz ziemniaków do miasta. „Odwodźcie, odstawić! Co odwiezione, to z głowy” — mówi przybysz. „Tylko spokojnie, tylko powoli!” — opiera się

dziadek. — Do diabła, żeby to nie było wolno zatrzymać sobie wszystkich ziemniaków! Skąd ci ludzie w mieście żrą tyle ziemniaków?”

Przechodzi obok Kimpel. — Żrą? — pyta. — Nikt ich nie żre; zostaną wypite. Zrobi się z nich wódka. Rosjanie wypiją.

Przybysz ściga brwi: — A tę wódkę, co ty pijesz, robią pewnie z porzódorów, co?”

Z domu wychodzi dziadek. Rece trzyma w kieszeniach od spodni. Broda obwisła mu zgrzyliwie. — Co tu się dzieje?

Przybysz zaczyna gwizdać przez zęby. Nie chce, żeby mu przeszkadzano. Dziadek przez chwilę patrzy na nas. Nagle mówi: „Ach taak!” — po czym zlaży do dołu, mocno chwytając za stylisko od szpadla przybysza i mrużąc znacząco: — Sądziś, że się utrzymają, jeśli złozymy je tak płytko? Zawsze uważałem, że trzeba schować parę kocy.

— Złozyc? Co schować? — Przybysz wyprostował się. Wyziera mu z oczów gniew. — Niczego nie chce tu ukrywać! Dziadek przerzuca językiem prymkę z jednego kąta ust w drugi. Jest rozczarowany. Przybysz znów się zabiera do kopania i warczy: — Tu chce... obornik nie może się walać po całym podwórzu. Chęć go zadołować. Potrzeba nam gnojownika.

Dziadek pluje sokiem z prymki do dołu: — Bzdury! Jak ci się dłuży czas, narznię sieczki! — Bzdury? Gnojownik, to dla ciebie bzdury? —

— Gnoj w oborze jest tłuszczy. Też mi jakaś nowa moda: co chwilę wywozić gnoj z obory! Koń się przebieje a świnie ochwaca.

— Jeśli będzie sucho w pomieszczeniach, na pewno się nie ochwaca. — Tego cię też nauczyli w tym twoim kolchozie? —

Dziadek owija łańcuszek od zegarka dookoła palca i wypina pierś: — Tam rzeczywiście trzeba obornik chować w dołach i jeszcze zamykać. Mogłoby dostać nog. Nikt nie ma własnego bydła, ale każdy potrzebuje porcykły gnoj do ogródka przyzgodowego. A może nawet już i ogródków nie mają, co?

Przybysz opiera się na szpadlu, Oddycha tak jakby pies warczał: — Przeształ wreszcie, do cholery! Czyż ci nie opowiadałem... —

— Możesz mi dużo opowiadać — przerywa mu dziadek, ciesząc się, że rozwścieczył przybysza. — Opowiadałeś, żeby zabił nudę. Ale nikt ci nie wierzył. Nawet ten mały.

Dziadek chwytta mnie za kołnier, — Chodź Tinko, chodź. Odmierz sobie nos przy głupstwach... —

Wszystko wyszło na jaw. Opowiedział mi Kimpel-Fritz. Przybysz należał do partii. To taki on! Nie wszyscy mieszkańcy wsi należą do partii, ale ojciec Murrelauga należał: jest przewodniczącym, Nauczyciel Kern jest w partii, Klauschke też. Nosi on biały kitel i sprzedaje w konsumie margarynę i szczołki do szorowania. Burmistrz Paolo, kilku przesiedleńców i kilku hutników — to także partyjniaki. Hutnicy szkła pracują w Sandberge i mieszkają na facjach u chłopów. Pastor nie należy do partii. „Bóg, nasz Pan, nie jest polityczny” — mówi.

Im dłużej rozmyślał, tym więcej ludzi znajduję w partii; także kobiety: panią Kern i sprzedawczynię z konsumu. Chłopki nie należą do partii. Nie zawsze — jak mówią — mają czas, by biegać na zebrania. Za to należą do Związku Kobiet. Związek Kobiet też urządza zebrania. To wreszcie.

Są we wsi ludzie, którym wywracają się oczy i łamają języki gdy rozmawiają o partii. Biały Klauschke przemawia w sklepie, ale tych przemówień nikt nie rozumie. Niekiedy rozglądają się przedtem na wszystkie strony — nie może być nikogo w pobliżu — nim zaczną mówić o partii. Dziadek i Kimpel wypędzają mnie i Fritza na podwórze gdy klną na partię.

— Partia robi wszystko, a czego jeszcze nie zdolała zrobić, to na pewno zrobi — mówi Wunsch. Jeśli on tak mówi, to można wierzyć.

Partia urządziła uroczystość dla dzieci. Dostaliśmy ciastka i cukierki. Jeśli partia rozdziela między przesiedleńców buty, spodnie albo materiały na ubrania, to nazywają ją wtedy solidarnością narodową. Wielu przesiedleńców chwali ludzi z partii, którzy ruszyli naprzód tę solidarność narodową. Inni przesiedleńcy nie chcą o partii nawet słuchać. Niech się najpierw zatroszczy o to, żeby odzyskać to wszystko, co mieli kiedyś.

Wunsch przemawiał do przesiedleńców: Partię stać na wiele. Będzie mogła robić jeszcze więcej gdy wszyscy będą z nią współdziałać.

— Jesteśmy biedni wskutek wojny — powiedział Wunsch. — Ale wojnę robią bogaci. Zarabają na tym. A mali ludzie muszą wojnę odcierpieć na sobie. Niekiedy przesiedleńcy p.wiadali po tej mowie: —

— Ten Wunsch ma rację. Tylko nie wojna! Jeśli ojczysta prowadzi wojnę, to nie ma nawet oiczyzny.

Erwin Strittmatter

RYSZARD HŁADKO

## ZNACHOR CZY LEKARZ?



**C**HŁOPKA J. patrzyła przed wojną na Krynicę ze szczytów górskich, na które wdrywała się z posiłkiem dla męża pracującego tam przy wyrębie lasu. Już wtedy chorowała na serce i zaburzenia systemu nerwowego; toteż mąż, który często był w Krynicy, przynosił jej z krynickich źródeł leczniczą wodę.

W tamtych czasach sanatorium było dla ob. J. nieosiągalne; możliwość leczenia się w nim wydawała się niewiarygodna. Cóż zatem dziwnego, że obecnie — w pierwszych dniach pobytu w Krynicy — była przebywaniem w sanatorium tak onieszmielona, że krepowała się nawet wychodząc na deptak. — Pod ziemię bym się ze wstydu schowała! — opowiadała. — Jak wyszłam przed sanatorium i zobaczyłam, że tu tyle pa spaceruje, to chociaż doktor kazał mi chodzić do pijalni, wolałam zostać w pokoju. Dopiero gdy siostra zaczęła mnie wszędzie oprowadzać, nabrałam odwagi; dziś już nie wstydzę się pójść wszędzie.

Ta wiejska kobieta, która przed paru tygodniami nie umiała kranu w wannie odkręcić, dla której przeżyciem było naciśnięcie dzwonka dla przywołania pielęgniarki — siedzi teraz w świetlicy w wygod-

nym fotelu — i z gospodarską godnością rozmawia z wybitnym plastykiem warszawskim.

Włączywszy się do rozmowy, zapytałem ob. J. czy pobyt w sanatorium przyniósł poprawę w jej zdrowiu.

— Czy ja wiem? — odrzekła. — Na razie nie widzę specjalnej poprawy. Może w ogóle nie pomoże...

— E... — usiłuję zaprzeczyć.

— A czyż mało to się zdarza, że i najlepszy doktor nie pomoże? Jak co komu przeznaczone, choćby nie wiem jak się bronili, nie wybroni się. Była u nas jedna kobieta chora na raka. Zrobili jej operację — i po niej. Zaledwie cztery tygodnie chodziła po świecie. Operacja nie pomogła i doktor nie pomógł...

— Może za późno się do niego zgłosiła? Rak — to choroba złożona, uporczywa. Lekarze walczą z nią tylko w klinikach.

— A mego męża przez dwa lata leczył na raka zwykły człowiek z naszej okolicy i bardzo mu to pomogło. Cała wieś się u niego leczy. Przed wyjazdem do Krynicy sama do niego chodziłam i nie mogę powiedzieć, żeby mi zaszkodził. Kazał pić miętę pieprzową i przykładać na brzuch palony owies albo cegły; gdy zaczęłam to robić, od razu poczułam się lepiej...

— Więc ten człowiek — to nie lekarz? — pytam ze zdziwieniem.

— Jaki tam lekarz! — Tak jeden, prawie sąsiad. Zna się na chorobach; wie jak ludzi poratować. Byłe czym się zadawali, nie lupi biednego człowieka. Ja — wdowa nie mam za co leczyć się po doktorach; gdyby nie Sapomoc, nigdy bym tu nie przyjechała.

— To jednak maż umarł?

— Ano, umarł. Tak było mu to przeznaczone. Co los postanowił, człowiek nie zmieni. Z mojego rodu nikt długo nie żył. Matka miała 36 lat, jak umarła; ojciec — 49. Bratu się zmarło gdy miał 27 lat; drugi nie dożył nawet do 40. Mąż doszedł ledwie do 35, kiedy go chowałam...

— Toteż trzeba się leczyć.

— Pewnie. Każdemu na życiu zależy. Myśli pan, że mi przyjemnie tu siedzieć? U nas jeszcze przed wojną ludzie rozpowiadali,

jakie to zgorzzenie jest w tej Krynicy. Książd nawet na kazaniu o tym mówił. I prawda. Gdy jest ładna pogoda, wszyscy tu prawie nago chodzą. Jak tu wyjeżdżalam, wszyscy się ze mnie śmieli, że na zgorzzenie lecę... Mnie starej mówić coś podobnego! — dodała z oburzeniem.

Słucham i myślę: jakież to niespodzianki platają czasem pozory! Obywatelka J. — mimo pewnego uświadomienia — obciążona jest nadal wszystkimi grzechami zacofania. Wiare w zabobon stawia na jednej płaszczyźnie z wiedzą lekarską.

Czy jej leczenie w sanatorium jest dowodem, że mimo swego uznania dla znachorskich umiejętności, rozumiała, iż może ją uratować tylko medycyna? I czy już nie odda z powrotem swego zdrowia w ręce szarlatanów?

Żegnając się, informuję ob. J., że w jednym z najbliższych numerów „Wsi” znajdzie artykuł o sobie.

— Jak to, to pan z gazety? I napisze pan o mnie?

— Opiszę naszą rozmowę.

— Nigdy się na to nie zgodzę! — zawołała. — Nie zgłupiałam, żeby się wystawiać na śmiechy...

Zaskoczony tą uwagą, usiłowałem dociec, co ją wywołało. Skromność? Nie za tym nie przemawiało. Wstydlivość? Czegóż się tu wstydzić. Prawda: ob. J. myślała kiedyś inaczej, ale w końcu przecież przejrzała. Obawa przed ludzką drwiną? Ludzie raczej z uznaniem będą o tym czytać.

— Nie chcę — powtarzała uparcie ob. J. — by ludzie u nas pomyśleli, że specjalnie chcę się reklamować.

Nie mogłem jej przekonać. Chociaż żal mi było tematu i straconych godzin rozmowy, musiałem przerywać, że jeszcze się nad swym zamiarem zastanowię.

Przy kolacji spotkałem się z fotoreporterem jednego z warszawskich czasopism: chciał zrobić zdjęcie właśnie chłopi J., razem z lektarką podczas zabiegu. Ale ta ostatnio ostro się temu sprzeciwiła.

— Nie lubię się afiszować — tłumaczyła się.

Ryszard Hładko

ILJA, ERENBURG

## O PRACY PISARZA

Zamieszczamy za radzieckim miesięcznikiem „Znamia” dalsze fragmenty studium Ilji Erenburga pt. „O pracy pisarza”.

6. Obranicy burżuazyjnej ideologii oskarżają radzieckich pisarzy i przodujących pisarzy Zachodu o tendencyjność. „Zjawisko, że pisarz — jak i wszyscy ludzie — jedno kocha, drugiego nienawidzi, jest zupełnie zrozumiałe. Człowiek czcący wszystkich bogów, nie wierzy w żadnego — tak samo, jak człowiek zapewnijający, że kocha wszystkie kobiety, nie kocha żadnej.

„Pisarz pisze nie dla zabawy, nie dla zdobycia sławy; pragnie on uczynić ludzi dośkonalszymi, a życie — piękniejszym; książki są dla niego duchowym orężem w walce.

„W powieści niemieckiego pisarza-komunistki Anny Seghers „Umarli pozostają młodzi”, faszyci są żywymi ludźmi; żaden z nich nie jest pozbawiony pewnych cech dodatnich, wszyscy jednak dokonują potwornych zbrodni lub solidaryzują się z nimi. Tendencyjność pomaga Annie Seghers spojrzeć głębiej, w dusze odtwarzanych postaci, dać obraz artystycznie bardziej wier-ny.

Szolochow w „Zorzącym ugorze” jest tendencyjny; wae on, że zespalenie chłoptwa będzie krokiem naprzód; tendencyjność pozwoliła pisarzowi spojrzeć wnikliwiej w dusze kulaków i stworzyć ze swej książki nie poposłity, nie plakatuowy utwór, lecz obraz pełen psychologicznej prawdy. Wydaje mi się, że poza pasją i żarliwością nie było i nie ma prawdziwej literatury.

Warto tu przypomnieć wychodzące już z obiegu słowa, jak: powołanie, natchnienie, śmiecha społeczna. Nie są one ani śmieszne, ani pusłe. Zawierają bowiem dokładne określenie obowiązku pisarza. Pisarz przez swe krótkie istnienie powinien przejść przez życie wielu ludzi i zagrzewać ich serca, sam się przy tym spalając. Pisarz — odtworzywszy świat wewnętrzny człowieka — powinien pomóc czytelnikowi pełniej żyć i wznosić się coraz wyżej.

Pisarza cechuje wrażliwość serca, zaciekanie losem ludzkim, miłość dla człowieka; natomiast byłoby jednak sądzić, że pisarz zdolny jest zrozumieć każdego człowieka. Wszyscy ludzie, a więc i pisarska, odczuwają dostrzegalne zjawiska poprzez własne doznania. Uczucia obce pisarzowi, nie mające nie wspólnego z jego duchową konstrukcją, nie docierają do niego i nie przemawiają. Gdy odtwarza je w swej pracy, wspomina sceny z cudzych książek, uzupełniając je logicznymi domysłami. W takich książkach i na takich stronach zawsze wyczuwamy obcość i brak plastyki.

Wbrew rozpowszechnionemu na Zachodzie pogładowi pisarz nie może być widzem na przedstawieniu komedii ludzkiej i dramatu; jest on ich uczestnikiem. Rozpoczęcie pracy nad pierwszym rozdziałem powieści poprzedzają nie tylko miesiące lub lata przygotowań do niej (notatki, pierwsze plany), lecz i okres intensywnego życia autora: jego radości, wzloty i poryty, jego wzajemne stosunki z ludźmi.

Mówiąc o tym, nie twierdzę bynajmniej, że pisarz odtwarza w powieści lub opowiadaniu wypadki ze swego życia. Przeciwnie: autor przezwycięża nie tylko takie przeżycia, lecz i obrazy przez siebie zaobserwowane. Opisuje jednak zawsze postaci, których myśli i uczucia są dla niego zrozumiałe; poza tą prawdą nie ma literatury. Zdolność odczuwania przeżyć swych bohaterów autor osiąga poprzez własne przeżycia; to one torują mu drogę do innych serc.

„Fiedin napisał „Miasta i lata” dlatego, że podczas pierwszej wojny światowej przebywał w niemieckiej niewoli. Dwie ostatnie powieści tego pisarza są mocno związane z jego młodością. Fiedin przed napisaniem „Pogromu” walczył w partyzantce na Dalekim Wschodzie. Wsiewołod Iwanow w opowiadaniach z wojny domowej zawarł dzieje własne. W trylogii Aleksieja Tołstoj znajdującego wiele szczegółów autobiograficznych. Poetyczna powieść „Bieleje samotny żagiel” jest artystycznym nawrotem do dzieciństwa jej twórcy. Początek powieści Pawłeni „Szczęście” powstał niełatwo: zanim go autor napisał, sam opisane wypadki przeżył.

7. Każdy pisarz ma dostęp do serc jednych ludzi, nie rozumiejąc lub mało rozumiejąc serc innych. Każdy też ma do nich swe klucze: do jednych większe do drugich mniejsze. Ale nie ma i nie było pisarza, który by posiadał klucze do wszystkich serc.

W literaturze ubiegłego wieku znajdujemy takie określenia, jak „dziewczęta Turgeniewa” lub „bohaterowie Czechowa”. Te typy powieściowe są nie tylko wyrazem określonej epoki; znalazły w nich swe odbicie również indywidualne cechy twórców. Czy w czasach Turgeniewa nie było żadnych władzy kobiet? Czy nie królowały wówczas interesowność i zmysły? Czy nie spotykano wtedy szczęśliwej miłości? Turgeniew wniwie kreslił sylwetki władczych kobiet i barwnie odtwarzał szczególną miłość, ale z wyjątkową plastyką i wyjątkową wnikliwością utrwał w swych powieściach po-

stacie bohaterów, które otrzymały nazwę „dziewczęta Turgeniewa”. Nie tłumaczy się to literackimi lub filozoficznymi upodobaniami pisarza, ani jego zachwytem dla Goethego lub Schellinga. Sylwetki ujmujących a nieszczęśliwych dziewcząt potrzebne były Turgeniewowi dla pokazania „zbędnych ludzi” i rozkładu warstwy szlacheckiej. Jak byśmy się długo nie zamysłali nad duchowymi przeżyciami Turgeniewa (a przecież trudno uwierzyć, by spotykał on w życiu wiele swych bohaterów) wypadnie nam stwierdzić, że charakter i losy Turgeniewa często przypominają charakter i losy „dziewczęta Turgeniewa”.

Za czasów Czechowa nie rzadko spotykano w Rosji niezłomnych rewolucjonistów — ludzi o jasnym umyśle i żelaznej woli. Czechow jednak najczęściej odtwarzał pechowców, niepoprawnych marzycieli — ludzi o wrażliwym sumieniu, łamanych twardą bezwzględnością życia. Wczytując się w listy Czechowa i wspomnienia o nim współczesnych, widzimy w osobie tego twórcy wyjątkowo łagodnego, smutnego człowieka, który nie znośił gromkich słów, unikał dramatycznych sytuacji zachowując głęboką wyrozumiałość dla ludzi słabych, doświadczanych żywymi zawodami. Takim pozostał on i w literaturze. Wpływało to nie tylko na jego stosunek do ludzi, lecz i na wybór jego bohaterów. Dostojewski — od napisanych w młodości „Biednych ludzi” do „Braci Karamazow” — nigdy nie odtwarzał wewnętrznego świata kobiet; w każdej jego powieści postacie kobiece są losowymi typami; ukazują się one jedynie po to, by edukując zaważyć na życiu mężczyzny. Nie spotykamy w książkach Dostojewskiego ani wzajemnej miłości, ani duchowej harmonii. Ma to ścisły związek z jego charakterem, z jego samotnością, z jego ciężkimi osobistymi przeżyciami.

Pisarz, który — bez względu na swe intencje — opisuje ludzi nieznanymi mu lub niezrozumiałymi, spotka się w swej pracy z nieuniknionym niepowodzeniem.

8. „Niepodobna dokładnie zbadać duchowego laboratorium współczesnych pisarzy; mimo, że przebywają oni w naszym pobliżu, nie znamy ani ich charakteru, ani przeszłości. Gdy pragniemy poznać tajemnicę narodzin bohaterów klasycznych powieści, czytamy listy, pamiętniki, notatki ich twórców oraz wspomnienia o nich współczesnych. Dowiemy się wtedy, że bohater powieści nie powstał z zetknięcia się pisarza z człowiekiem, który przykuł jego uwagę; jego sylwetka zarysowała się w wyobraźni pisarza wtedy, kiedy dociekał on do istoty wielu spotkań.

Wybitny przedstawiciel sądownictwa opowiedział Tołstojowi zdanie, które go poruszyło. Twierdzono potem, że ten wypadek zaważył na powstaniu powieści „Zmartwychwstanie”. Wiemy od dawna, że problemy zawarte w tej książce nie dawały Tołstojowi spokoju przez całe życie. Opowieść wybitnego sędziego umożliwiła pisarzowi stworzenie kanwy powieści; pomysł jej napisania zrodził się na długo przedtem.

„Pisarz żyje życiem społeczeństwa opisując wydarzenia dostrzegane w gestwinie życia. „Gonczarow stworzył Oblomowa nie dlatego, że był on zjawiskiem wyjątkowym — lecz dlatego, że obłomowczyzna stała się w jego czasach klęską społeczną. Miłość Anny Kareniny jest w swej żywotności wyjątkowa; rozumie ją jednak każdy człowiek.

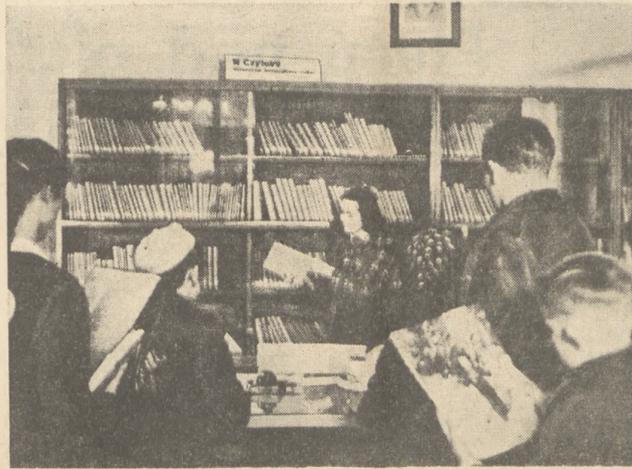
Dlaczego burżuazyjni pisarze są w naszych czasach tak mało płodni? Dlatego, że oddalają się od życia. Odtwarzają oni ludzi nierzyn do siebie niepodobnych. Tacy ludzie niewątpliwie istnieją (jest ich może nawet więcej, niż nam się wydaje); czytelników jednak żaden z tych ludzi nie zaciekawia; bo czytelnik szuka w książce opowieści o samym sobie i swych czasach.

„W bohaterach współczesnych burżuazyjnych powieści nie dostrzegamy wzbudzonych ludzkich namiętności; znajdujemy w nich przezwyciężone typy niesamowite, jak gdyby były przeznaczone do muzeum osobliwości: zazdrosnego pederasta, matkę zamucającą uczuciem obcości dla własnego dziecka, samobójcę odbierającego sobie życie bez powodu.

„Obserwując ludzi, pisarz nie widzi w nich wszystkiego; są myśli i uczucia, których nie dostrzega nawet najlepszy znawca serc ludzkich; ujawniają się one tylko w chwilach wyjątkowych.

Kresząc typy powieściowe, pisarz wykorzystuje w swej pracy własne obserwacje, doświadczenia, uczucia. Ibsen nie znał w swym życiu radości; liczne jego sztuki są jak gdyby długim monologiem ich autora. W sędziwych latach Ibsen wyznał: „Artysta zdolny jest odtworzyć tylko to, co znalazło chociażby częściowe odbicie w nim samym”. Nie świadczy to bynajmniej, że Ibsen nie znał norweskiego społeczeństwa lub że zamykał się w swej twórczości w kręgu wyłącznie własnych przeżyć; spotykamy w jego dramatach różne charaktery, ale są one wszystkie odbiciem charakteru „h autora.

Tłumaczył Stanisław Ziemak (Dokończenie w następnym numerze)



Z zadań rewolucji kulturalnej

STANISŁAW KRAKOWIAK

## WIEJSKIE KSIĘGARNIE

Jeszcze przed rokiem w sklepach gminnych spółdzielni książki „nie szły”. Pokryte kurzem leżały na jednej lub dwóch półkach — najczęściej w zaniedbaniu i zapomnieniu. Były towarem „niechodliwym”. Tak było m.in. w Rokicinach, gdzie książki umieszczono w sklepie żelaznym, a sklepowa ob. Drabik kleja je i przerzucała w najciemniejszy kąt. Podobnie było w Będkowie, Ujeździe, Strykowie, Jezówie, Rogowie i innych gminach pow. brzezińskiego.

Nauczyciele i działacze oświatowi nie mogli spokojnie patrzeć na zakurzone i porzucone w spółdzielniach rokińskich książki; żądali otwarcia specjalnego sklepu z materiałami papierniczo-pisemnymi i książkami, by zaspokajać wzrastające potrzeby dzieci i młodzieży szkół gminy Rokiciny i okolicznych wiosek.

Nie łatwo było taki projekt przo-forsować. Opór był i w miejscowym zarządzie gminnej spółdzielni, i w PZGS Brzeziny; nie wierzono tam w możliwość utrzymania się samodzielnej księgarni, takiej bowiem placówką historia handlu dotychczas na wsi nie notowała.

Interwencje w gminnej spółdzielni i PZGS-ie, wreszcie artykuły w „Głosie Robotniczym” zadecydowały: w sierpniu 1952 r. powstał w Rokicinach pierwszy w powiecie sklep potrzeb kulturalnych — wiejska księgarnia.

Nie sztuką było powołać go do życia. Sztuką było go rozwinąć. Na szczęście zainteresowali się nim zarząd gminnej spółdzielni, nauczyciele, działacze oświatowi.

Nauczyciele z młodzieżą podjęli się zaszczepnej funkcji: kolportażu książek do poszczególnych gromad. Książka docierała do zagrod chłopskich, pukala do drzwi, zdobywała wies.

Kierowniczka szkoły w Łaznowie, Bronisława Wawczak bierze do rozprawienia książki o ogólnej wartości 1.000 złotych co miesiąc. Bo w zasięgu działania ob. Wawczak, prócz lektury szkolnej cieszą się wielkim popytem dzieła Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej, Słowackiego, Gorkiego, Szolochowa, Zeromskiego, Azajewa, Newerlego itp. W Łaznowie rozeszło się również kilkadziesiąt egzemplarzy Historii WKP(b) i zyciorysu Stalina. Obecnie masowo rozchodzą się dzieła Sienkiewicza: „Potop”, „Quo Vadis”, „Pan Wołodyjowski”.

Pomoc w kolportażu książek dało księgarni wiejskiej w Rokicinach również nauczycielstwo z Popielaw i Rokicin. Dziś, miesięczne obroty za książki wynoszą tu 3.000 złotych (czyli złotówkę na mieszkańca gminy). A jeszcze rok temu wynosiły one od 100 do 200 złotych...

Wielu chłopów w gminie posiada już własne biblioteki. Właścicielami takich bibliotek są: Juliusz Chmielewski (wycieczka w wojewódzkich rezerwacjach w Łodzi), Jan Malinowski, Antoni Waszczykowski, Sabina Iskierka, Antoni Jędrzejewski, Władysław Marusiak i wielu innych.

Małe biblioteczki tworzą dzieci ze szkoły podstawowej, zakupujące w sklepie pięknie ilustrowane książki z działu dziecięcego. Częściej też zaglądały do księgarni chłopcy po książki rolnicze.

Oprócz działu książek w księgarni w Rokicinach istnieją działy: sportowy, kosmetyczny, papierniczo-pisemniczy, wyrobów tytoniowych i zabawek dziecięcych. Ostatnio nadeszły do sprzedaży aparaty radio-we.

FRANCISZEK SEDZICKI

Ludowy poeta kaszubski

## Z ODWIECZNYCH PRAWD

Słuchajta wa, co z renną wstajęta codzięń zorzą,  
Wa, co was nocne gwizdę zaledwie do snu złożą.

Co harujęta z młodu i w późne stare lata —  
Na co do waju zyce? Co mota z tego świata?

Te rozkosz, jaką słuńce, kiej świecie nam, doznaje,  
Ptoch, kiede śpiewo; różne kierz, kiej kwiat wedaje!

Cuchnie we stawie woda, kiej wiatr jej nie przewieje  
I nie je w cągłym biegu; bezczynny pląg rdzewieje.

Umiero dąb, kiej listka świeżego nie przeloży —  
W tym cało radosc życia, że wiedno, wiedno tworzy!

Stanisław Krakowiak

JANINA KRAUSOWA

## PIEŚNIARZ POLSKIEGO WYBRZEŻA

W roku 1918-ym wyszedł nakładem wydawnictwa Gebethnera i Wolfa w Warszawie zbiorek moich wierszy pod tytułem „Wiatr zwał od pomorskich stron” — opowiada Franciszek Sedzicki. — I sam Zeromski potem mi mówił, że wiersz mój nasunął mi tytuł dla jego historycznego eposu — „Wiatr od morza”. Bardzo byłem z tego dumny, bo podziwiałem i podziwiam niezmiernie Zeromskiego, a nie przestane kochać go za to, co ten wielki pisarz uczynił dla mojego rodzinnego Pomorza.

W rozmowie z Franciszkiem Sedzickim raz po raz padają nazwiska pisarzy, artystów, działaczy społecznych — wszystkich, którzy w ciągu ostatnich 50-ciu lat przebywali na Wybrzeżu, na nim czy dla niego pracowali. Bo 71-letni ludowy pisarz kaszubski, Franciszek Sedzicki, swoją działalność literacką uważał zawsze za służbę społeczną i łączył ją z bardzo ożywioną i różnorodną aktywnością organizacyjną na całym Pomorzu.

Sedzicki, to przykład poety-działacza ludowego, to zarazem — z racji swego wieku — żywa historia ostatnich 50-ciu lat polskiego Pomorza. Zasułowany pisarz jest przy tym wyjątkowo płodnym, czujnym, żywo reagującym na wszelkie wydarzenia poetą; jego obfitość twórczości, pisana autentyczną gwara kaszubską, stanowi od dawna własność wszystkich Kaszubów. Wszystko to czyni z Sedzickiego w ludowej kulturze polskiej zjawisko wyjątkowe. Podobnego poety ludowego nie posiada obecnie żaden inny region Polski.

O Kaszubach mawiano zawsze: „Cassubia non cantat — Kaszuby nie śpiewają”. Bówną swoją niemuzykalność mieszkańcy morskiego wybrzeża wyrównują z nawiązką swoim zamiłowaniem do poezji. Kaszubska literatura ludowa jest bardzo bogata i różnorodna, a Sedzicki zajmuje w niej miejsce honorowe — bezspornie po autorze opowieści poetyckiej „O panu Czorlińskim, co do Pucka po sere gryfane” — Hieronimie Drozdow-kiem i Aleksandrze Majkowskim. Równy swoim wielkim poprzednikom zasługami społecznymi, przewyższa ich niewątpliwie wysokością poetyckiego lotu.

Franciszek Sedzicki urodził się 11 marca 1882 r. w małej rodzinie chłopskiej na Kaszubach w powiecie kościerskim. Jego rodzina osiadła tam od wielu pokoleń. Rodzina Sedzickiego — to przywiązani do Kaszub rybacy i rolnicy. Cechą charakterystyczną wyróżniającą ich ze środowiska wiejskiego była „ciekawość świata”: zainteresowanie słowem drukowanym, podrożami, poznawaniem nowych ludzi. Z ubogiej rodziny Sedzickich wyszło kilku nauczycieli i wędrujących po dalekich morzach marynarzy. Franciszek Sedzicki odziedziczył po swych przodkach tę iskrę twórczego niepokoju, która uczyniła z niego poetę.

Skromnemu wiejskiemu chłopcu było bardzo trudno o start zyciowy. Próbował nauczycielskiego chleba; próbował wreszcie pisać i publikować swoje pierwsze utwory. Od roku 1906 zaczął drukować w „Gazecie Gdańskiej” pierwsze, nieśmiałe próby artykułów i wierszy. Publicystą oryginalnym stał się na łamach dodatku do „Gazety Gdańskiej” noszącym tytuł „Druzb-”.

Zbliżenie z doktorem Aleksandrem Majkowskim — redaktorem czasopisma „Gryf”, przywódcą ruchu młodokaszubskiego, było początkiem niustającej dotychczas pracy Sedzickiego, jako kaszubskiego działacza regionalnego. W pracy tej towarzyszyła mu nieustannie jego poezja. Głos poety nie zamilkł w okresie najcięższego ucisku wynaradawiającego, i mimo ciężkich przesładowań — stał się orężem w walce o polskość Wybrzeża. Ludowy poeta położył na tym polu trwałe zasługi. Rzadko można znaleźć przykład twórczości poetyckiej, tak niezmiernie czujnej na potrzeby społeczne, tak oddanej narodowej i społecznej służbie.

Działalność Franciszka Sedzickiego i wpływ, jaki wywarła jego wiersze, trafnie zostały zrozumiane przez pruską cenzurę. Już pierwszy jego zbiorek poetycki — „Dumki z kaszubskich pól” — został w r. 1911 skonfiskowany. Cenzor Otto Rauch pisał w uzasadnieniu swej decyzji: „Są to elegie bohaterkie, pieśni patriotyczne i miłosne — pisane w narzeczu kaszubskim, a wyrzucające najgłębszy żal Polaka-Kaszubę z powodu utraty Kaszub, najpiękniejszej krainy ziem polskiej, ale też w rzewnych słowach wypowiadające nadzieję wybawienia i wyzwolenia z niewoli...” Mówią one: „Jestem Kaszubą i Kaszuba zostanę. I jakkolwiek ta gorąco ukochana ziemia jęczy jeszcze w niewoli, jakkolwiek jej niwy ociekają łzami, wylanymi przez jej mieszkańców z powodu utraconej wolności i wszelkich przesładowań — Kaszuby nie są jeszcze stracone... Nadszedł czas, abymyś się snu powstał”. Tak recenzował poezję artysty cenzor zaborcy. I to wy-

starczyło, aby te piękne patriotyczne wiersze nie ujrzały nigdy światła dziennego.

Cenzor pruski zrozumiał ładunek emocjonalny wierszy Sedzickiego i wywierany przez nie wpływ. Pod prostą bowiem, często niefrasobliwą formą ludowej „frantówki”, w przeznaczonych dla wiejskiego odbiorcy piosence, w szlucce świe-tlicowej — kryły się pobudzające do miłości ojczyzny kultury myśli patriotyczne, umacniające wiarę w powrót Polski nad Bałtyk. Poezja Sedzickiego zawierała poza tym ostre potępienie niesprawiedliwości społecznej i gorące współczucie dla wiejskiej i rybackiej biedoty, a zwłaszcza dla krzywdzonych przez ustrój kapitalistyczny dzieci ludzi pracy — i dlatego była ona dobrą lekcją społecznego radykalizmu.

Franciszek Sedzicki ma w swym dorobku twórczość bogatą i urozmaiconą tak w treści, jak i w formie. Oparta na ulubionych w Kaszubach motywach ludowych, twórczość Sedzickiego dzieli się na kilka rodzajów. Będąc jednak przede wszystkim poetą, Sedzicki wypowiada się najchętniej w wierszu lirycznym. Jego liryka, mocno związana z ziemią i ludźmi, jest zwierciadłem życia Kaszub w najszerszym pojęciu tego słowa. Nie ma kaszubskiej osady, która by się nie znalazła w jakimś utworze poety. Nie ma zjawiska w życiu kaszubskiego ludu, które by się nie odbiło w jakimś wierszu. Wędrowniki po rodzinnym kraju wśród bliskich ludzi są najczęściej spotykaną osnową utworów Sedzickiego, Czy będzie to podobny ludowej śpiewce poemacik „Pojedziemy na Kaszubę” czy legendawierszowa „Otomin i Odmiana” czy opowieść o pomorskich rzekach „Gda i Wda” czy liczne liryki z tomów „Jochinek Czwaruch, gęsi pasturki” przejmująco malujące dolę sieroty, pastucha u wiejskiego bogacza, Treścią sztuki scenicznego „Widmo” są walki narodowościowe na Kaszubach, z ostrym klasowym rozgraniczeniem bogatych, zaprzeczonych umiarkowanych i ofiarnej, walczącej o lepsze jutro biedoty wsi i miasta. Ulubione i często grywane „Jaselska rybackie” w tradycyjnej formie noworocznego widowiska, skierowują ostrze satyry przeciwko wyższościom, Świeclicowe utwory sceniczne „Dwa młode światy” i „Dziwowski w Śmiechowskich” są doskonałymi sztukami regionalnymi o radykalnym wydźwięku społecznym.

Mnogosć, aktualność, celność utworów Sedzickiego i ich koloryt lokalny, dostatecznie tłumaczą ich znaczenie dla Kaszub. Nie ma wiejskiej świetlicy na Kaszubach, w której by nie rozbrzmiewały piosenki i frantówki Sedzickiego, w której nie deklamowałoby jego wierszy, nie wystawiano jego utworów scenicznych. Procesem charakterystycznym jest to, że satyryczne frantówki Sedzickiego wędrują ze wsi do wsi, już jako prawdziwa własność ludu kaszubskiego z aktualnymi dla każdego środowiska zmianami. A więc cały cykl frantówek o chłopie — pijkaku, niestałym zalotniku, figlarnie niedobrym, leniwej gospodyni, niedobrym małżeństwie — wszedł już na stałe do repertuaru zespołów świetlicowych. Wartość społeczną tych utworów jest nie mniejsza od ich waloru poetyckiego.

Okres okupacji, który Sedzicki spędził na Kaszubach w oddziale partyzanckim, wzbogacił jego twórczość w aktualne utwory polityczne, a jego „Śpiewka partyzancka” jest i dzisiaj powszechnie śpiewana przez młodzież kaszubską.

Popularność utworów Franciszka Sedzickiego jest na jego rodzinnym Kaszubsku bardzo duża. Utwory poety są wykonywane we wszystkich kaszubskich świetlicach i szkołach, często anonimowo, tak dalece bowiem stały się własnością społeczeństwa, Nazwisko jego jest powszechnie znane i otoczone szacunkiem i głęboką miłością.

Franciszek Sedzicki ukończył nie-długo 72 lata. Po wojnie osiedlił się w Gdańsku, gdzie pracuje w Bibliotece Miejskiej, oddając tej placówce cenne usługi, jako wybitny znawca regionalizmu kaszubskiego. Nie odłożył też na bok pióra. W ostatnim czasie napisał piękny wiersz w gwarze kaszubskiej „Leć pokoju gołbico” oraz wspomnienie o niedawno zmarłym pomorskim działaczu społecznym, Kazimierzu Banaś — Purwinie. Za-sługi Franciszka Sedzickiego uczci-ło Wybrzeże, przyznając mu w r. 1951 r. nagrodę miasta Gdańska.

Omawiając twórczość Franciszka Sedzickiego — zjawiska tak cen-nego w historii naszej ludowej kultury — trudno pominąć milczeniem sprawę ogromnej wagi, bo-lesną i dla autora, i dla odbiorcy jego poezji. Doskonała poetycko i celna społecznie, a popularna wśród Kaszubów twórczość Sedzickiego znana jest w tej chwili wyłącznie z ręcznych odpisów i dwóch po-wojennych przedruków na powie-lacu. Utwory sędziwego poety ziem-ni kaszubskiej zasłużyły sobie na to, aby Ludowa Spółdzielnia Wy-dawnicza затroszczyła się o ich wydanie w obszernym wyborze.

Janina Krausowa

JÓZEF KOZŁOWSKI

## Pieśń nad pieśniami rewolucji



Józef Chelmoński

JAKUB LITWIN

## Na szlaku sprawy chłopskiej

(Od Staszica do Dembowskiego)

**P**OD naporem rzeczywistości dojrzewały poglądy polskich myślicieli postępowych. Gdy nad narodem polskim zawisła groźba utraty niepodległości, gdy w pełni ujawniły się skutki zdradliwych rządów magnaterii (która szybko rezygnowała z obrony narodowych interesów Polski — by ocalić swoje interesy kastowe) — wówczas rozległy się silne głosy Staszica, Kołłątaja, Kuźnicy Kołłątajowskiej — wskazywały one, że ocalić Polskę może tylko wolny chłop. Pisał przecież Staszic: „Czyliż chłop pańszczyźniany robiący jest zdaniem do sprawiedliwości? Przecież bez odmianny poddaństwa rolnika doczesne są wszystkie inne w Rzeczypospolitej odmianny. Bo tylko stan chłopski dla tak niezmiernych wojsk, jakich dzisiaj obrona kraju potrzebuje, może dostarczyć żywności i ludzi”.

Postępowi myśliciele XVIII wieku nie rozumieli, albo niedostatecznie nie rozumieli, potrzebę rewolucyjnego zrywu mas chłopskich. Z czasem jednak myśl o konieczności rewolucji chłopskiej coraz głębiej wnika do świadomości tych, którzy walczyli o wolność narodu, nierozłącznie związaną z kwestią wolności ludu.

Trzeba przede wszystkim wymienić Joachima Lelewela, który w pracach pisanych w latach 1830—1850 — jako pierwszy z historyków polskich — doszedł do przekonania, że kluczem do zrozumienia rozwoju społecznego jest analiza walki klas — i swą charakterystykę dziejów Polski oparł na analizie walki klasowej między szlachtą a masami chłopskimi. Leleweł słusznie wskazywał, że klasy nie są bynajmniej jakimś wiecznym atrybutem społeczeństwa, ale przeciwnie — zrodziły się na określonym etapie jego rozwoju.

Choć Leleweł nie doszedł do materialistycznego „opisania klas — niemniej, poglądy jego wskazują na rolę chłopstwa i odnoszą się do ruchów chłopskich z sympatią. Był przecież jednym z pierwszych historyków, który jasno i otwarcie stanął w obronie ruchów kozackich, wtykając polskiej magnaterii, że to ona swoim uciskiem i grabieżą i wyzyskiem zmusiła Kozaków do buntu przeciw Rzeczypospolitej. „Panowie i dobr królewskich zawiadowcy — pisał — przywykli obchodzić się z wieśniakami jak z niewolnikami; mieli panem a niewolnikiem, nie znając pośredniej kondycji, usiłowali kozaków w służebność podciągnąć; podobnymi jakie wieśniak znosił daninami uciążliwej, podobną robotniczą”.

W innym miejscu Leleweł pisał: „Bunt koacki jest powstaniem ludu. Od sześciu wieków podobnego powstania, do odzyskania swych praw przez rewolucję radykalną, do odmiennienia z gruntu społecznego porządku... Jest to pierwsza rewolucja społeczna, która się oficjalnie objawia na horyzoncie polskim. Chwała wybuchowi krakowskiemu udziałem ludu przez nieustraszoną młodzież”.

„Powstanie krakowskie — pisał Leleweł — zaczyna... od aktów w najwyższym stopniu rewolucyjnego, a aktu socjalnego: powołuje lud do powstania, do odzyskania swych praw przez rewolucję radykalną, do odmiennienia z gruntu społecznego porządku... Jest to pierwsza rewolucja społeczna, która się oficjalnie objawia na horyzoncie polskim. Chwała wybuchowi krakowskiemu udziałem ludu przez nieustraszoną młodzież”.

Boleśniej jeszcze niż u Lelewela rozlega się głos krzywdy ludu — a wraz z nim hasło walki klasowej — z pism Gromady Grudziądz. „Ojczyzna nasza — pisze ona — w swym pierwszym manifestie — to jest Lud Polski, zawsze była odłączona od ojczyzny... szlachty i jeżeli było jakie zetknięcie między krajem szlachty polskiej a krajem ludu polskiego, miało ono niezapróżone podobieństwo styczności — jaka zachodzi między zabójcą a ofiarą”.

\*

Szczytowym punktem polskiej myśli rewolucyjnej i demokratycznej.

Jakub Litwin

**R**OBOTNICZE pieśni rewolucyjne posiadają dużą wartość historyczną i artystyczną. Są one poetyckim świadectwem zmagania ludu pracującego: w jaskrawych obrazach z niezwykłą siłą i realizmem ilustrują ich dzieje, zwycięstwa i niepowodzenia, radości i cierpienia. Wszystkie one — nawet najbardziej smutne pieśni żałobne — tchną głębokim optymizmem i wiarą w zwycięstwo sprawy robotniczej.

W 1835 roku, Jerzy Plechanow zwracał uwagę, że „każda klasa społeczna ma także swoją poezję, w którą wkłada swoją specyficzną treść”. Zachęcając robotników do tworzenia wierszy, Plechanow pisał: „powinności stworzyć swoją poezję, swoje pieśni, swoje wiersze. W nich powinniście szukać wyrazu dla swych cierpień, nadziei i dążeń” (\*).

Najpiękniejsze pieśni robotnicze, najbardziej ideowe i żarliwe weszły do skarbicy międzynarodowej poezji proletariackiej.

Jedną z nich wznosiła się do takich wyżyn, że stała się godnym hymnem proletariatu światowego. Jest nią pieśń nad pieśniami rewolucji — „Międzynarodówka”.

Powstała w dniach „śmierci Parryza”, w czerwcu 1871 r., gdy krew Delescluze'a i Dąbrowskiego, Varilana i Duvala obficie zraszała ostatnie barykady. Przeszła do historii jako testament 35 tysięcy rozstrzelanych komunistów, jako pomnik wystawiony Komuniem przez piewców jej czynu — Eugeniusza Pottiera i Piotra Degeytera. Była to nieśmiertelna idea „Manifestu Komunistycznego” wcielone w potężną pieśń.

Idea Komuny wraz z jej pieśnią przeszły na Wschód, dotarły przez nasz kraj do ojczyzny Lenina, której lud podjął dzieło Komuny. Przełożona w 1902 r. na język rosyjski przez poetę — rewolucjonistę A. Kocę, wchodziła trwale do życia i walki rosyjskiej klasy robotniczej.

W pierwszym numerze „Prawdy”, który ukazał się w 5 dni po rewolucji lutowej (17 marca 1917 r.) zamieszczony został pełny tekst „Międzynarodówki”. „Prawda” pisała wówczas, że „Międzynarodówka” ma tak wielkie znaczenie dla proletariatu, jak jego czerwony sztandar i że melodia tej pieśni „bliska jest sercu robotników wszystkich krajów”.

Lenin po przybyciu do Piotrogradu 3 kwietnia 1917 r. w przemówieniu wygłoszonym na dworcu fińskim do witających go robotników ogłosił „Międzynarodówkę” hymnem partii komunistycznej. Wzniesionemu przez Lenina hasłu: „Niech żyje Rewolucja Socjalistyczna!” II Ogólnorosyjski Zjazd Rad proklamował 9 listopada 1917 r. powstanie

pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. „Międzynarodówka” obwieściła w tym dniu całemu światu, że w historii ludzkości rozpoczęła się nowa era — era socjalizmu. Dokonano wtedy historycznej poprawki w słowach refrenu „Międzynarodówki”: „Bój to będzie ostatni” — zmieniono na „Bój to jest nasz ostatni”. Te nowe słowa symbolizują, znaczenie zwycięskiego Października, symbolizują pewność ostatecznego triumfu.



Eugeniusz Pottier

A w Smolnym tłumy, słuchając orędzia, głuszyli pieśnią komunikaty. Pierwszy raz zamiast: — to będzie... — śpiewano — to jest nasz ostatni... — (W. Majakowski — „Dobrze”) (Przekład A. Sandaurea)

„Międzynarodówka”  
Tekst pierwszego polskiego przekładu

Powstańcie wraz, pasierby ziemi,  
Na gół skazani i na znój!  
Już myśl blaskami promiennymi  
Lud wiedzie na zwycięski bój!  
Ślad przeszłości dłoń zmiata!  
Płynąć ludu przestaną lzy,  
Ruszymy z posad bryłę światła!  
Dziś niczem, jutro wszystkim my!  
Oto walka ostatnia!

Skończycy się krwawy trud,  
Międzynarodówka  
Ogarnie ludzki ród!

Nie ulitujcie się nad nami  
Ni król, ni klecha, pan, ni kat,  
Musimy się wyzwolić sami,  
Wprowadzić sprawiedliwy ład!  
Z kajdan by wyswobodzić ducha,  
Robotniku! Ze snu się zbudź!  
Dać w ogień trza, niech płomień  
Żelazo, gdy gorące kuć!  
Oto walka ostatnia itd.

Rząd gnębi, oszukują prawa,  
Podatkami ssących słycać jęk,  
Dla moźnych tylko jest ustawa,  
A prawo biednych — martwy  
dźwięk.

Nie dożył Pottier wielkiego, światowego triumfu swej pieśni. Doczekał się tych szczęśliwych dni jej skromny kompozytor. W 1920 r. Degeyter przybył do kraju wyzwolonych robotników i chłopów. W „Dniu Sportowca” stał na trybunie na Placu Czerwonym w Moskwie; przed nim defilowała przy dźwiękach „Międzynarodówki” wspaniała, pełna entuzjazmu młodzież radziecka. Po twarży starego rewolucjonisty spływały lzy. Sędziwy kompozytor wzruszony wykrzyknął: „Nareszcie pieśń moja w pewnych rękach!”

\*

W Polsce „Międzynarodówka” znana była już w końcu XIX wieku. Przybyła do naszego kraju na fali wzmrożonego ruchu rewolucyjnego wraz z innymi pieśniami Komuny Paryskiej. W okresie tym pojawił się w Galicji pierwszy polski przekład „Międzynarodówki” — pióra nieznanego poety. Pieśń szybko rozszalała się po kraju. Stary esdekajelowiec Edward Chwałebik wspomina, że w ostatnich latach ubiegłego wieku na zebraniach konspiracyjnych SDKPiL śpiewano „Międzynarodówkę”. Przez szereg lat tekst pierwszego przekładu polskiego krążył w rękopisach, aby wreszcie pojawił się drukiem w 1923 r. w zbiorze „Pieśni proletariatu”.

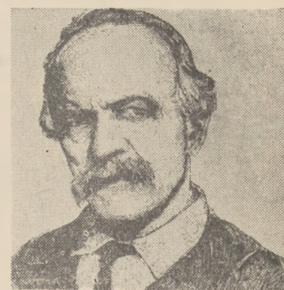
Przekład ten jest bardzo zbliżony do tekstu „Międzynarodówki” śpiewanej obecnie; — czwarta zwrotka pozostała zupełnie nie zmieniona. Natomiast refren pierwszego przekładu wymienia nazwę „związku naszego bratniego”, któremu historia powierzyła zadanie „ogarnąć ludzki ród” — „Międzynarodówkę”. Na przełomie XIX—XX wieku pojawił się nowy przekład, którego

Skończyć trzeba z miarkami dwiema,  
Ludu, jedną dla wszystkich słów:  
„Bez prawa obowiązków niema,  
Bez obowiązków niema praw!”  
Oto walka ostatnia itd.

Rządzący światem samowładnie  
Królówie kopali, fabryk, hut,  
Wszak żyją tam, że każdy kradnie  
Bogactwa, które stwarza lud.  
W bandy tej kasie ogniowatej  
Stopion w złoto krwawy pot,  
Na własność ludu przejdzie cały,  
Jak należności słusznej zwrot!  
Oto walka ostatnia itd.

Hej robotnicy i wołanie!  
Niech w jednej partii stanie lud!  
Nam cala ziemia się dostanie,  
Wypędzim dziedziców ród.  
Kruki, sepy, czyż jeszcze mało  
Miały żeru krwawego z nas?  
Precz z nimi! aby zajął świat  
Nam słońce na wieczysty czas!  
Oto walka ostatnia itd.

\*) J. Plechanow — „Iskustwo i Literatura”, OGIZ, Moskwa 1948 r., str. 483.



Piotr Degeyter

tekstu — z wyjątkiem refrenu nie udało się odnaleźć.

Bój się zbliża ostatni!  
Tylko zgodnie: a lud  
W powszechny związek bratni  
Zespoli ludzki ród!  
(„Przedświt” Nr 1, r. 1900)

Wreszcie w okresie rewolucji w 1905 r. pojawił się — również anonimowo — dotąd śpiewany w naszym kraju tekst „Międzynarodówki”.

W dniu 16 grudnia 1918 r. zakończył obrady Zjazd Organizacyjny Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (w 1925 r. przyjęła nazwę Komunistycznej Partii Polski). Zjazd wydał odezwę „Do proletariatu Polski”, która wezwała go „pod swój sztandar walki o dyktando proletariatu, o rewolucję socjalną”. Obrady tego historycznego zjazdu zakończyło odśpiewaniem hymnu KPRP — „Międzynarodówki”. Odtąd pieśń ta towarzyszyć będzie komunistom polskim w ich walce o wolność i niepodległość.

Na demonstracjach, w czasie strajków, w więzieniach, na pogrzebach poległych towarzyszy głosiła ona niezłomną wiarę w zwycięstwo proletariatu. Groźnie i potężnie rozbrzmiewała na ulicach miast i wsi w dniu 1 Maja. Robotnicy, mimo terroru, zbierali się przy głośnikach aby wysłuchać „pozdrowienia z Moskwy”, bicia kurantów kremleskich i dźwięków „Międzynarodówki”.

„Międzynarodówką” w szerokim zakresie posługiwała się KPP w agitacji politycznej. Często słowa jej ukazywały się na stronicach nielegalnych wydawnictw komunistycznych.

Po latach ciężkich walk klasowych przyszło wymarzone przez lud pracujący wyzwolenie. Naród nasz po raz pierwszy w historii, stał się naprawdę wolny. Sliniej, dźwięczniej i swobodniej, niż kiedykolwiek, rozbrzmiewa dzisiaj zwycięska pieśń nad pieśniami, hymnem człowieka oddziału naszej bohaterkiej klasy robotniczej — Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wiodącej naród do socjalizmu.

Józef Kozłowski

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

## Nad radziecką rzeką

**K**IEDY przyjechałem w r. 1927 do Sorrento, Gorki przyjął mnie natychmiast z ogromną czułością. Wróciłem do Moskwy dostojnie w nim zakochany. Słowa Gorkiego natchnęły mnie, uskrzydliły; z lekkiem „em zabierałem się do „Socji”; szedłem śmiało naprzeciw tematowi, na front”.

Leonow, urodzony w 1899 r. w Moskwie, przeżył trudną drogę pisarską. Pierwsze jego utwory nie były w pełni realistyczne. Realistyczny sposób widzenia rzeczywistości pogłębia w „Borsukach” (1923-1924), podejmujących śmiało problem walki pomiędzy klasą robotniczą, wspieraną przez rewolucyjne chłopstwo a żywiołem burżuazyjnym i kulakami. Lata 1928-1929 przyniosły powieść „Nad rzeką Socją” (\*). W dniach wielkiej Wojny Narodowej Leonow pisze znaną sztukę „Najazd”, „Lenuszką” i opowiadanie „Zdobycie Wielkoszumka”. Po wojnie (1946 r.) ukazał się „Słowo o pierwszym deputacie” i wiele wystąpienia publicystycznych.

Powieść „Nad rzeką Socją” ukazała się ostatnio w tłumaczeniu polskim.

W zapadłym kątzie Rosji, gdzie ścieżki ludzkie krzyżują się z tropem losia, plen rekonstrukcji gospodarki socjalistycznej wyznaczył budowę wielkiego obiektu przemysłowego — papierni. Plastyczny opis dzikiej puszczy, z którym spotykamy się na pierwszej stronie powieści (Leonow, jak i Stołochow jest ogromnie czuły na piękno przyrody) jest zapowiedzią zmagania człowieka z naturą. Zasadnicza jednak bitwa rozegra się w powieści na innym planie. Będzie to bitwa między bankrutami historii: mieszkającymi klasztoru, kulaktem, wrogo nastawionym odłamem inteligencji (Renne) a ludźmi radzieckimi — w najszerszym rozumieniu tego słowa.

Główną postacią powieści jest bolszewik Uwadjew. Budowę traktuje jak bitwę, gdzie najmniejsza omyłka może mieć nieobliczalną następstwa. Zawarte są w nim dodatnie cechy charakteru, podpatrzone u komisarzy wojennych: szybkość decyzji, żelazna wola, mądre postępowanie w obliczu ważkich

wydarzeń. Pisarz nie szczędził jednak swym pozytywnym bohaterom cech dyskusyjnych. Uwadjew jest często niezręczny w życiu osobistym, źle rozwiązuje problem małżeństwa, w wielu wypadkach pozostawia szorstko. Sprawdzając bohaterów w przypadkach drobnych i wielkich pisarz chciał ukazać wszechstronnie ich sylwetkę, a równocześnie powiedzieć, jak jesz-



P. Sokolow, N. Tolkunow — Na wielkiej Stalnowskiej budowie.

cze wiele jest w człowieku do zrobienia.

Ostry, bezlitosny rysunek konfliktów osobistych i społecznych jest bardzo typowy dla „onowa. Towarzyszy mu spiętrzenie wydarzeń, scenyrija niepokoju, buntu przyrody: „Zbiory zapowiadały się marnie: przez dwa miesiące w ca'm kraju padły deszcze. Od morza do morza przebiegła wieść o wznowieniu działalności Narodowego Komisarjata Apropowizacji. Na kresach wprowadzono system kartkowy. Rząd wydał dekret o dobrowolnym oddawaniu nadwyżek zboża, lecz równocześnie stosowano i inne środki zaradcze, by nie dopuścić do załamania planu rozbudowy. Nieuchwytni plotkarze rozsiadali wśród ludności pogłoski, jakoby czterdzieści tysięcy komisarzy apropowizacyjnych wyruszyło już na wieś. W centrum kraju wykryto spisek. Sąsiednie mocarstwo przeprowadzało manewry nad granicą radziecką. W tysiącach opowiatowych miasteczek krążyły anegdota o „głianym socjalizmie”. Mieszczańska gazeta zamieszciała duży artykuł. „Nie gromadźcie zbyt wielu zapasów żywności, gdyż w nich legną są

robaczki!... W kraju z niepokojem oczekiwano przykrych wydarzeń (str. 265).

Obraz ten był potrzebny Leonowowi dla ukazania jak w najwęższych trudnościach rosła jedność moralna narodu radzieckiego. I leż jednak załamań i drgnień istniało w duszy tego narodu! „Soćstroj” dźwiękały przede wszystkim ręce małego chłopstwa. Chłopstwo to,

czeli kopać studnie i po kryjomu przynieśli ze skrzyżowania dróg kapliczkę, w której natychmiast osiadł skrzętny, milczący mniszek.” (str. 159—160).

Leonow posługuje się w kompozycji zasadami kontrastu. Rozpadający się mroczny klasztor, obok perspektywy wielkiej budowli socjalistycznej, rozmowa Uwadjewa-bolszewika z inżynierem Kirem, żywy relikwat rozkładającego się Jewisijewieja i obecność młodej Zuzanny — ukazują całą niedorzeczność skazanego na zagładę świata. Było wielu pisarzy — rabusiów, którzy postacie swoje ograbili z marzenia. O skradzione ludzkie skarby upomniał się Lenin w artykule „O potrzebie marzenia”, Leonow czujną dłoń artysty-humanisty nie pokąpił tego bogactwa bohaterem. Ukazał ogromną intensywność ich wewnętrznych życia, różnorodność marzeń. Któregoś dnia Uwadjew natknął się na inżyniera Buragę marzącego o gwiazdach, Lecz, być może, na najbardziej ludzkim marzeniu przyłapał autor Uwadjewa. I to w ostatniej chwili. Było to już po opanowaniu zasadniczych trudności, po dniach najcięższych zmagani, kiedy „Soćstroj” rósł niepowstrzymanie i poprzez marcowy, mokry śnieg przetrwały się światła nowych obiektywów.

„Wieczór już zapadł, a Uwadjew wciąż siedział. Ostрым, nieczułym wzrokiem wpatrowany w marcową mgłę widział może miasta, które powstaną w tych szalonych przestrzeniach, i znajomą twarz dziewczynki z powiewającymi na wietrze lokami; możliwe, że to wszystko, o czym marzył, wydawało mu się tylko naiwnym obrazkiem z elementarza Kati, wydrukowanym na jego papierze w sto lat później... Ale stąd najlepiej widać było, jak zmienił się oblicze Soci i jak zmienili się zamieszkujący nad nią ludzie”.

Nie w sto lat, a w niewiele później, jakby przynagłając historię, drukowano na papierze Uwadjewa Stalnowską Konstytucję, zatwierdzająca zwycięstwo socjalizmu.

Tymoteusz Karpowicz

\*) Leonid Leonow — Nad rzeką Socją. PIW, 1953 r., str. 389.

ANNA BUREK

# O WŁAŚCIWY KIERUNEK NATARCIA



**W**UBIEGLYM tygodniu odbyła się narada kierowników bibliotek wojewódzkich — sekretarzy IV-go etapu konkursu czytelników wiejskich. Dała ona obraz dotychczasowej pracy nad konkursem na odcinku organizacyjnym.

Cyfr i fakty jakie zostały na naradzie przytoczone, skłaniają do pewnych przemyśleń.

Oto na dzień 5 listopada w przodującym województwie olsztyńskim zwerbowano do udziału w konkursie 6.893 osób, czyli plan wykonano zaledwie w 43 proc. Na ostatnim miejscu znajduje się woj. warszawskie z 4159 czytelnikami na zaplanowane 50 tys. Jakże daleko jeszcze do pełnej realizacji zobowiązania, podjętego w maju przez Zjazd Przodujących Czytelników — w IV etapie konkursu weźmie udział pół miliona chłopów!

Choć obecnie sytuacja zmienia się z dnia na dzień, trzeba sobie uświadomić fakt niewątpliwy: u źródeł tych niedociągnięć leżą błędy, które mogą zawazyć na dalszej pracy z czytelnikami na wsi, na dalszej popularyzacji książki. O niektórych z tych błędów mówiono na naradzie.

Organizatorami konkursu jest oficjalnie 16 organizacji społecznych i politycznych, takich jak ZSCH (który rozpoczął akcję pierwszą i prowadził ją sam przez III etapy) ZMP, SP, biblioteki. Pozornie więc istnieje możliwość dotarcia do masowego odbiorcy książki, do wszelkiego typu czytelników.

W praktyce okazuje się jednak, że chociaż na szczeblu wojewódzkim i powiatowym organizacje te współdziałały z komisjami czytelniczymi, nie umiały jednak zmobilizować swoich ogniw dolowych, przede wszystkim gromadzkich. Nie doceniają więc one faktu, że

konkurs może i powinien pomóc im w pracy organizacyjnej i politycznej, że jest to jedna z form pracy np. z młodzieżą. Ożywienie wielu martwych kół ZMP, wytyczenie im konkretnych zadań w gromadzie może być przeprowadzone przez ich udział w konkursie. Przed organizacjami masowymi staje tu więc wielkie zadanie: postawienia przed ogniami terenowymi konkursu, jako jednej z naczelnych prac okresu jesienno-zimowego.

Bibliotekarze ze Szczecina chcą wykorzystać kursy upowszechnienia wiedzy rolniczej (a punktów szkoleniowych będzie w woj. szczecińskim 500) jako zespoły konkursowe. Jest to bardzo słuszne i świadczy o właściwym widzeniu spraw konkursu. Przecież jednym z jego zadań jest podniesienie poziomu wiedzy rolniczej, a przecież w tym jedynie aspekcie można mówić o podniesieniu kultury wsi. Jak więc można oceniać postępowanie Okręgowego Zarządu PGR-ów w Koszalinie, który na 900 gospodarstw zgłosił zaledwie 10 zespołów? Dlaczego na zjeździe mi-



fol. A. Mustaj

JAN JELONEK

## Na temat muzeów postępu społecznego

**P**ROF. Jan Szczepański, w artykule pt. „Zakładamy muzea postępu społecznego” (Nr 44 „Wsi”) interesująco opisuje urzędowe muzea kolchozowe w ZSRR.

Wiadomo, że muzeum, jako instytucja kulturalno-histeryczna, spełnia bardzo ważną rolę w społecznym wychowaniu — szczególnie młodzieży. Zgromadzenie w jednym miejscu chronologicznie ułożonych eksponatów, obrazuje drogę postępu człowieka w jego rozwoju ekonomicznym, kulturalnym, społecznym i politycznym.

Wzięmy dla przykładu powiat Łęczyński lub — konkretnie — Zagłębie Dąbrowskie. Na 56 gromad w powiecie, w 20 powstały już spółdzielnie produkcyjne; objęły już one 35 proc. terytorium powiatu. Z czasem — z tych 56 spółdzielni może powstać 10 czy 20 dużych, bogatych i dobrze zarządzanych gospodarstw społecznych. W dużych spółdzielniach przemiany społeczne biec będą tak szybko, że dla ich wyjaśnienia trzeba będzie zorganizować muzeum z chronologicznie ułożonym materiałem dokumentarnym.

A przecież Zagłębie Dąbrowskie — to nie jedno miasto lecz uprzemysłowiony rejon górniczy i rolniczy. Zagłębie — to kolebka górnictwa i ziemia dawnego bractwa gwarów wyzyskiwanych przez szkarbników biskupich. Tu zrealizowano patriotyczne hasła Staszica. Tu powstał Bank Polski i pierwsza w Polsce kopalnia Reden, pierwsza na większą skalę huta Bankowa. Zagłębie — to kolebka KPP. Gościło ono Dzierżyńskiego, Hibnera, Nowotkę i Bieruta, tu działał tow. Zawadzki.

W Zagłębiu Dąbrowskim lała się krew robotnicza w walce o 8-mio godzinny dzień pracy i o wolną Polskę. Tu w roku 1918 i 1919 powstały pierwsze rady robotnicze i tu mieliśmy wspaniałe zrywy górników, broniących kopalni Mortimer i Klimontow przed zniszczeniem.

Słowem, Czerwone Zagłębie Dąbrowskie warte jest, aby czym prędzej mogło we własnym muzeum przedstawić swą wspaniałą historię. Trzeba pokazać ją młodzieży Zagłębia, uświadomić, że wspaniałe perspektywy, jakie ma dziś przed sobą, nie przyszły same, że wyro-

śli one na ziemi obficie zroszonej krwią robotniczą.

Dzisiejsza młodzież, wyjeżdżająca na studia do Wrocławia, Poznania, Krakowa lub do Stolicy, z przykrością dowiaduje się na miejscu, że — jak na przyszłych działaczy tej ziemi — wie o Zagłębiu za mało. Nie wystarczy wiedzieć coś niecoś o Sosnowcu, Będzinie, czy Dąbrowie; trzeba też znać historię lepiątek nad Brynicą, nor i jaskiń na Warpiu, biedaszybów zagórskich i milowickich. Trzeba znać dzieje wspaniałych manifestacji pierwszomajowych i strajków okupacyjnych Mortimeru i Klimontowa.

Znać Zagłębie, to — obok znajomości hut i kopalni — poznać geniusz robotnika i górnikowi wyzyskiwanego przez kapitalizm rodzimym i zagranicznym aż do zepchnięcia go w nędzny tłum bezrobotnych bieda — szymbarkarzy.

Spółeczną wiedzę, niezbędną dla działacza danego terenu, może dać tylko dobrze przemyślane i mądrze zorganizowane muzeum.

Różni pisarze i monograficji starali się pisać na tematy Zagłębia Dąbrowskiego. Fascynowała ich wielkość ludzkiego trudu ukrytego w dziesiątkach dymiących kominów i w szumie tysięcy maszyn różnego rodzaju. Fascynowały ich gromady ludzi — gnomów wyzyskiwanych w podziemiach kopalnianych i ludzi walczących, wyrosłych z żaru hut i walcowni.

Ostatnio takie próby podjęła M. Warnieńska, dając w swej „Czerwonej Kokardzie” opis walk i dążeń proletariatu Zagłębia w okresie 30 przedwojennych lat; w drugiej swej pracy pt. „Domem naszym las głęboki” Warnieńska zawarła fragmenty walk wolnościowych z okupantem hitlerowskim. Być może autorka — po udanych próbach — sięgnie dalej i zechce połączyć fragmenty życia Zagłębia w jedną całość. Czy nie będzie pomyślała o brak materiałów historycznych, bibliografii i dokumentów, rozrzuconych dziś między tysiącami ludzi? Zebrać takie materiały może tylko muzeum. Po ich usystematyzowaniu, mogą one w nim służyć, jako otwarte archiwum dla każdego badacza i pisarza.

Jan Jelonek

czurninowców w Olsztynie nie padło ani jedno słowo o konkursie? Drugim ważnym niedociągnięciem jest niedostateczne wciągnięcie do konkursu inteligencji wiejskiej. Jedyne w woj. warszawskim bibliotekarze pomyśleli o zorganizowaniu zespołów czytelniczych przy GS-ach.

Inteligencja wiejska może i musi stać się nie tylko organizatorem lecz i uczestnikiem życia kulturalnego, a poprzez to — i gospodarczego wsi. Tymczasem, jak dotąd jest ona — poza nauczycielstwem — zupełnie bierna. Przykład POM w Opatówku, gdzie koło ZMP wraz z dyrektorem POM przystąpiło do IV etapu konkursu czytelniczego, jest wzorem należytego ustosunkowania się inteligencji do czytelnictwa i właściwego widzenia roli IV-go etapu konkursu w jej własnych zadaniach. Jest to jeszcze jeden odcinek pracy nie dostrzegany przez organizatorów. Odcinek niezwykle ważny.

Jak wynika ze sprawozdań kierowników bibliotek wojewódzkich, najslabiej wygląda praca w gromadzie. Przyczyną tego tkwią w niedocenianiu wagi konkursu przez liczne ognia dolowe. Milczą o konkursie radolwicy; nie nie piszą gazetki gminne. Rzadko mówi się o nim na gminnych zebraniach sołtysów. Do tego trzeba dodać niewłaściwe widzenie terenu przez „górną”.

## Literatura rolnicza czeka na czytelnika

Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne wydało ogółem 19 milionów książek i broszur. Byłoby to niemało, gdyby tych 19 milionów egzemplarzy docierało równocześnie do rąk czytelników. Ale nie wszystkie wydawnictwa są przeznaczane dla przeciętnego rolnika.

PWRiL wydaje także serię na poziomie naukowym lub zaspokajające potrzeby specjalistów z różnych dziedzin. Jeżeli je odczytać, zmniejszy się znacznie liczba tytułów pozostających do podziału. Czy te przynajmniej docierają tam, gdzie są potrzebne? Rzecz pozornie dziwna, a jednak prawdziwa: najtrudniejszy zbyt mają broszury popularne, najbardziej przystępne, a więc zdawaloby się najbardziej pozycyne.

Nie znaleźliśmy rozwiązania tej zagadki, jeżeli prześledzimy drogę, jaką odbywa książka od wydawcy do czytelnika, a raczej jej trzy drogi.

Wszystkie wydawnictwa PWRiL przejmują Dom Książki, który z kolei zaopatruje biblioteki gminne, gminne spółdzielnie i własne sklepy. Domy książki znajdują się jednak tylko w miastach, a w GS-ach książki są ciągle jeszcze kopciuszkiem; spoczywają w najlepszym wypadku na półkach, nie wychodzą naprzeciw czytelnika, nie zachęcają go do nabycia. W rezultacie literatura Rolnicza na wyższym poziomie trafia do fachowców, do specjalistów, do przodujących rolników, którzy jej szukają i wiedzą, gdzie ją znaleźć; natomiast popularne wydawnictwa, przeznaczone dla najszerszego rzesz rolników, nieraz długo leżą w sklepach, czy magazynach.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

## ZANIEDBANA DZIEDZINA

**L**UDZIE z czelńskiego PGR... Będzie ich razem około 30-tu. Gospodarują na przeszło 1000 ha! To jest doprawdy imponujący widok, kiedy w blade, jesienne poranki brygadziści Gargula wysyła ludzi w pole. Suną traktory; ciągną ciężkie pługi i siewniki. Kopalni wyrzucają ziemiarki, zbierają je czelniśkie kobiety.

W tej wzorowej organizacji pracy zdumiewające jest to, że maszyn tu znacznie więcej, niż ludzi. A ludzie — to do niedawna jeszcze w dużej części analfabeci, najsłabsza biedota z Rzeszowszczyzny. Jakże szybko opanowali współczesną technikę uprawy ziemi!

Ciągną się w nieskończoność poręczane, rzepakowe i rzepikowe bulawy, niemały kawał sadu, plantacje soi, rzącznika, słonecznika, rozległe łąki. Jest oczywiście i pszenica...

Z Czelina wszędzie daleko. Do najbliższej stacji kolejowej Miesz-kowice — bite 10 km; do powiatowego Kostrzynia — 38 km. Te odległości utrudniają bezpośredni kontakt z „szerszym światem”.

Rozmawiałem z chłopami czelniśkimi. Niewielu ich jest. Mała wioska przytuliła się do wielkiej kępy drzew otaczających PGR. Mieszka tu kilkadziesiąt rodzin. Na palcach policzyć tych, którzy w ciągu ostatnich lat wybrali się gdzieś dalej poza gminę. Wyjątek stanowią mechanicy z PGR i dyrekcja; ze wsi — niektórzy członkowie spółdzielni produkcyjnej, skupiającej jedną czwartą gromady.

Jeden z bibliotekarzy, zapytany na naradzie do kogo docierają pracownicy bibliotek wyjeżdżający w teren, odpowiedział, że do sołtysa i kierownika punktu bibliotecznego. „Góra” więc w wielu wypadkach nie widzi aktywno gromadzką, który wyrósł w czasie poprzednich etapów konkursu; nie widzi przodujących gospodarzy, którzy winni stać się propagatorami i organizatorami konkursu w swoich gromadach. A przecież są tacy, którzy w tym roku zwerbowali ponad 100 uczestników konkursu. Np. Eleonora Urbańczyk z Wierzechowa (pow. Drawsko) zwerbowała dwustu ludzi. Praktyka bibliotekarzy woj. gdańskiego i koszalińskiego, którzy wysłali indywidualne listy do przodowników czytelnictwa z prośbą o pracę w IV etapie, przykłał woj. szczecińskiego, w którym do prac w konkursie wciągali się przodujących chłopów — uczestników Zjazdu Szczecińskiego — mówi o właściwym kierunku natarcia.

Niestety nie wszędzie prowadzone są te słuszne prace. Aktywność gromadki, przodujący czytelnik i przodujący gospodarz — powinni stać się głównymi czynnikami w walce o czytelnictwo w IV etapie konkursu. Takie założenia należy uznać za myśl zasadniczą w dalszej pracy nad upowszechnianiem czytelnictwa na wsi.

Anna Burek

Największe rozpowszechnienie (o bok czasopiśmi) mają broszury „Małego Poradnika Rolnika” rocznie wydawanego się w 140 tys. egzemplarzy. Takie powodzenie „Poradnik” zawdzięcza głównie temu, że sam „przychodzi” do rolnika drogą prawniczą pocztową.

W sumie więc stanu czytelnictwa literatury rolniczej na wsi nie można uznać za zadowalający.

Bogactwo literatury fachowej zgodnie z uchwałami IX Plenum zapewne wkrótce wzrośnie. Ale i dziś już mamy sporo broszur popularnych mogących pomóc w usunięciu najbardziej rażących zaniedbań. W wielu broszurach omawia się szkodniki i choroby roślin oraz sposoby ich zwalczania. Liczne prace dotyczą uprawy zbóż, ziemniaków, buraków, roślin oleistych. Tak samo jest w dziale sadownictwa i warzywnictwa. W dziale zootechniki znajdujemy około 40 przystępnych książek i broszur odnoszących się do „zadań w dziedzinie wzrostu hodowli i rozwoju bazy paszowej” wskazanych w tezach.

Wymieniliśmy tu przykładowo kilkanaście wydawnictw potrzebnych i dostępnych rolnikowi gospodarującemu indywidualnie. Dla fachowców służy rolniczej, dla PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych istnieje jeszcze cały wachlarz literatury specjalistycznej na wyższym poziomie.

Mimo pewnych luk i braków istniejąca literatura fachowa zawiera więc wiele pozycji potrzebnych i pożytecznych. Chodzi tylko o to, aby nie czekała na swego czytelnika, lecz wyszła mu naprzeciw.

BARBARA LIPIŃSKA

## W TROSCE O TWÓRCZOŚĆ LUDOWĄ

**P**IERWSZY Ogólnopolski Konkurs Twórczości Ludowej zakończył się.

Nie czas jeszcze dzielić się z czytelnikami jego wynikami, zrobimy to później. Ale przeglądając nawet pobieżnie nadesłane na konkurs prace, stwierdzamy, że jego zasięg był masowy. Prace konkursowe reprezentują różne poziomy artystyczne, ludzi z różnych środowisk.

Od I Ogólnopolskiego Zjazdu Twórczości Ludowej mija rok. W tym niedługim okresie zaobserwować postępujące na froncie twórczości ludowej przegrupowywanie sił i zmieniający się zasadniczo kierunek natarcia. Na czym to polega?

W pierwszych latach po wyzwoleniu przed społeczeństwem i władzą ludową stała się sprawa otoczenia artystów ludowych troskliwą opieką oraz rozwijania i upowszechniania ich dorobku. Sprawa była palącą, gdyż — wobec wdzierania się na wieś drobnomieszczańskiej kultury lat międzywojennych — trzeba było na gorąco chwycić piękno pieśni ludowej, tańca, stroju; zagroziło im bowiem bezprowtne wyparcie przez błędnie pojmowany „awans kulturalny”.

Pierwsze uderzenie mogliśmy skierować na te ośrodki, gdzie twórczość ludowa była żywa, zdrowa i mocna — by związać ją z wydarzeniami, którymi żył wtedy cały kraj. Następnie — wykorzystując doświadczenia w hże ośrodków — trzeba było ożywić zamierające regiony sztuki.

W stawianiu tych pierwszych kroków na polu kontynuacji ludowej tradycji osiągnęliśmy poważny sukces: stworzyliśmy prężne ośrodki twórczości ludowej (przykładowo — mającej Zalipie) i wychowaliśmy sobie „generałów” twórczości ludowej, pomagając im w zrozumieniu nowych perspektyw i nowych zadań ich sztuki, przebudowując niejednokrotnie ich światopogląd.

Zesrodkowanie uwagi na człowieku, na twórcy, zdecydowana walka z anonimowością ludowej sztuki — dały nam artystów tej miary, co reprezentujący kartuskie garncarstwo Leon Necel, czy znana ze Starego Miasta Felicia Curyłowa. Pracowali oni w czołowej twórczości ludowej, otwierając przed nią nowe, nieznane dotychczas perspektywy. Ich wytyczona praca sprawiła, że możemy już pójść głębiej w teren i zaznaczyć na mapie ludowej twórczości nowe ośrodki, i nowych ludzi.

\*

Niewielkie, bo kilkunastocentymetrowej wysokości wypalanki z gliny. Jest ich 26 sztuk. Nie wszystkie noszą znamiona prawdziwego artysty. Niejednokrotnie na plan pierwszy wybija się w nich wierność szczegółów kosztem realizacyjnej prawdy.

Ale nawet fragmenty tych prac świadczą o dużych możliwościach ich wykonawcy i o niezaprzeczalnym poczuciu formy.

W zgrupowanych rzeźbach jest szczególnie dużo postaci kobiecych. To zastanawia — i kieruje uwagę na nieznana twórczyni prac.

Do wszystkich eksponatów nadsyłanych na wystawę dołączane są listy od twórców ludowych, zawierające opis przebiegu pracy oraz

wyjaśniające treść i temat eksponatu. Tu takiego listu brak.

Autorkę rzeźb, wykonanych jedną z najtrudniejszych technik, ukazuje krótka notatka, zamieszczona w katalogu konkursowym: „Chmiel Emilia, urodzona w 1891 roku w Medyni Głogowskiej w pow. łańcuckim. Zawód: była robotnica folwarczna. Gruntu nie posiada. Była analfabeta, gdyż całą młodość spędziła w służbie u bogacza wiejskiego. Czytać i pisać umie tylko dzięki własnym wysiłkom”.

Tyle zawiera notatka.

O wiele więcej mówią o autorce jej rzeźby. Wyrażają nie gdziekolwiek występują w nich zespolenie artysty z jego dziełem; w ten sposób nieznana nikomu rzeźbiarka, w nadesłanych na konkurs rzeźbach zamknęła historię swego życia.

Cyklowi rzeźb Emili Chmiel można by nadać tytuł: „Moje życie”. Bo cóż ten cykl zawiera? Oto starca kobieta o przysięgę wysiłkiem postać dźwiga kosz kartofli; następna pochyla się nad strumieniem, gdzie do piany nędznej bielejny służy jej tylko kijanka; trzecia dźwiga ciężkie nosidła z wodą.

Twarze tych rzeźbionych prototypów Emili Chmiel — dziś już 60-letniej staruszki — pełne zmarszczeń i bólu, mają głęboką wymowę. Cykl zamyka obraz kobiety-analfabety, wpatrującej się w książkę, której nie może przeczytać... Jest to obraz, będący ilustracją dramatu życia tej, która go stworzyła.

Chmielowej nie łatwo było podjąć pracę nad artystycznym uformowaniem gliny. Ukradkiem, drogą podpatrywania, przyswajala sobie z trudem skomplikowaną technikę. Dziś jej twórczość urasta do miary symbolu tych możliwości twórczych, które tkwią na wsi jeszcze nie odkryte.

Emilia Chmiel — nieznana przedtem artystka ludowa, poprzez swój udział w konkursie wskazała nowy odcinek pracy: odnajdywanie, rejestrowanie, udzielanie pomocy takim jak ona talentom.

Eksponaty Chmielowej są nie tylko odgłosem ponurej przeszłości, lecz i żywym głosem terażniejszości. Mówi o tym artystyczne wykonana rzeźba młodej, radosnej dziewczyny wiejskiej, trzymającej w wysoko wyciągniętych dłoniach gołębia — symbol pokojowej pracy polskiej wsi. Ten optymizm twórczości starej kobiety wiejskiej decyduje o jej sile, o jej społecznym oddziaływaniu.

Warto, by o podobnych Chmielowej artystach ludowych pomyślało jury konkursowe przy przeglądzie i ocenie prac. Stoimy bowiem przed nowym etapem rozwoju twórczości ludowej, przed zdobyciem i uruchomieniem wielkich rezerw samorodnych artystów; musimy zastosować wobec nich inne niż dotychczas kryteria oceny. Bo pomogą nam oni w zdobyciu z zapomnienia nieznanych, pozabawionych opieki artystów — i troską o ich twórczość rozjaśnić ich ciężką, bolesną przeszłość.

Więdy cel konkursu, którego zadaniem było ogarnięcie najszerszych mas chłopieckich — zostanie z pewnością osiągnięty.

Barbara Lipińska



przez Dunaj, Białany i Bosfor. Weller w następujący sposób określa „granicę amerykańską”: „Jest ona wszędzie tam, gdzie może dotrzeć amerykańska bomba. Znać jej się ona wszędzie, gdzie mogą opuścić się spadochroniarze amerykańscy...”

Węzłe se na Ukrainie, albo Białorusi. A nasze zachodnie ziemie, to sprzedali kapitalistom.

Posypały się niezorganizowane glosy. — Ano rzeczywiście, kiedyś w naszych stronach tę amerykańską granicę zakładali. Zruili z samolotu spadochroniarzy. Wopięci i co partyjnijesze chlopi wylapali ich, jak szczerów. Powiadali, że oni do nas w ramach pomocy dla zacofanych... A owa „pomoc” — to była trucizna, rewolwery i granaty...

— Prawda w tej książce — odezwał się i Zieliński, przez gromadziwego koła ZSCH, średniak... Hitler też szukał na cudzej ziemi miejsca. Gdzie to można kupić?

Ludzie z Czaplina posiadają świadomość polityczną. Ale nie nadają ona za rozwijaniem umiejętności w zakresie opanowania techniki. Kwiring zaczął gospodarę kolektyną na 100 ha z pięcioma ludźmi, żadnego kawałka ziemi nie zastawiał odłogiem. Zresztą nie tylko w Czaplynie; również w kilku-nastu okolicznych gromadach nie pracuje się należycie nad pogłębieniem wiedzy politycznej. W Kostrzyniu widziałem całe stopy literatury politycznej; zalegają one Inkałe Partii, ZSCH, ZMP. Uderzyła mnie nieśmiałość miejscowych „czynników” w walce o czytelnictwo literatury politycznej. — Za trudna; nie wiadomo, jak ją ludzie przymają; „niechodliwa” — oświadczone mi w ekspozyturze „Ruchu”.

Idą długie jesienne i zimowe wieczory. Akcja szkolenia politycznego, żywe bezpośrednio zestawianie treści książki z bogatymi osobistymi doświadczeniami robotników rolnych, mało i średniorolnych chłopów — powinna w poważnym stopniu te wieczory wypełnić.

Zapomniana to bowiem dziedzina, Tadeusz Śliwiński

Wśród korespondencji

Czyżby to Artos?

Szanowna Redakcjo!

W przeddzień opisywanych przeze mnie wydarzeń gawędziłem z robotnikiem PGR-u. Siedzieliśmy w stolówce Zespołu Lotyń. Rozmowa niepostrzeżenie zesłała na temat lektury.

— Wie pan — powiedział mój rozmówca — z czytaniem jest u nas trochę gorzej... Harujesz przez cały dzień, wieczorem więc walisz się, jak kłoda. A i światło niekiedy nawala... Ale jakiś ciekawy film, albo sztukę w teatrze — w tym miejscu na usta robotnika zaczął się ironicznie uśmiechać — to bym chętnie obejrzał...

Nazajutrz, zbliżywszy się do budynków PGR-u, dostrzegłem afisz, zapowiadający przyjazd kina obwodowego. Odczytałem wielki tytuł „Cesarzski piekarz”. Rozirysałem właśnie w myślach zagadnienie, czy ten — doskonały zresztą — film produkcji czechosłowackiej nadaje się dla wiejskiego widza. Naraz wyrywał mnie z zadumy głos przewodniczącego Rolnej Rady Zakładowej. Stał tuż obok i ocierał się czoło jakby wstydił:

— Proszę tylko pomyśleć, co za pech! Świetlica wciąż jeszcze zawałona zborem! Byłem u dyrektora. Telefonowałem. Nie da rady, seansu nie odbędzie się...

Jednakże w tydzień później zbóże ze świetlicy zabrano — i w Lotyniu zagrościł teatr z prawdziwego zdarzenia.

W sal świetlicowej wystąpił zespół artystów stalinogrodzkich z „Wieczorem piosenki i tańca”.

Zainteresowanie było olbrzymie. Na widowni falowało morze głów. Ludzie tłoczyli się w przejściach, lepił się do ścian. Chłopska publiczność z przejęciem wpatrywała się w scenę.

Wpatrywałem się i ja. Ale to, co usłyszałem... mocno mnie zaskoczyło. I nie tylko mnie.

Ze sceny — zwłaszcza z ust konferansjera, który przedstawił się jako ob. Kocichajka — w sposób niepojęty dowcipny pod adresem obywateli, były to banały, wodne poziomom smutnej pamięci „Trubadura”.

Dla przykładu pozwolę sobie streścić dwa „rodzynki” tego słowno-muzycznego przekładacza.

Piosenka „romantyczna”, w której nie brak ani wiosny, ani błękitu nieba, ani...

finału zastrzonego lwim pazurem dwuznacznika:

„Siódne zaszło — i panna Mania też...”

„Po tym „numerze” poszły się luzne brawa. Są jednak okłaski, których powinien się wstydić nawet najbardziej niewybredny wykonawca.

Siecz pod tytułem „Nie kłam!” Zławałoby się, szlachetne założenie, potracające o ten dziesięciorga przykazań. A oto fabuła:

Pan domu zakupił u inżyniera wynalazcę aparat, rejestrujący skrupulatnie każde kłamstwo. By wypróbować precyzyjność mechanizmu, zaczęli wyrażać w zwykły na scenie swą kuchańkę (niecenzuralnie, jakie aktualne?). Siedziwo dołożył ceny zakupionych na targu jajek. Niemilosierny aparat stukiem właściwie każde słowo, mijające się z prawdą. Wysołoko „koszykowy” została ustalona. Teraz kolej na panią dom. Okazuje się, że i ona popłynęła się na deptaku cnoty małżeńskie. Oszukany „rogacz” wypomina niewiernej połowicy swą długotrwającą wiarość. Aparat terkoce bez końca...

Trzeba przyznać, że mistrzowie etrady pamiętali — jeśli już nie o kregoskopie, to przynajmniej o „chrząstce ideologicznej” programu. Pod koniec wieczoru wstał cały zespół i — w tempowych koszykach, ze sztandarami w ręku — zaintonował Hymn Młodzieży...

Na ulicy usłyszałem rozmowę dwóch młodzieńców i dziewczyny. Trojka dzieliła wzmianki wieczornego seansu.

— Morowy kawał! Nie pamiętasz, Franek, jak to było z tym zachodem słońca i panną Manią?

— Trzeba było zapisać — odpowiedział zagadnięty.

„Świstniewol” — orzeka rezolutnie dziewczyna — a ten korec ze sztandarami mogli sobie po takim programie podarować.

Chciałem i ja rozmówić się z artystami na temat repertuaru. Ale okazało się to niemożliwe. Ulotnili się, jak kamfora. Pewnie wyruszyli w dalszą drogę, by nieść (tym samym) cnotę i wieszczą do słowności „oswiał” kłamanie” miedzy steskionie żywego, artystycznego słowa masy chłopskiej.

Horacy Safrin

Świetlica gminna

Świetlica gminna w Radzicach (gm. Przewłocznica, pow. Opatów) jest jedną z przodujących placówek kulturalnych na wsi kieleckiej. W liście kierownika znajdującego wiele ciekawych przykładów pracy przede wszystkim młodzieży ZMP-owców. W Radzicach w powiecie świetlicowa zajmie się przeważnie młodzież, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

Najpoważniejsze tegoroczne osiągnięcia, które znacznie przyczyniły się do tego, że świetlica przoduje w powiecie, a nawet w województwie — data agitacja składowa.

Kierownik często wygłaszał odczyty, gdyż — mimo prośb — z Opatowa nie przysyłano ani prelegenta, ani materiałów. Energetyczny kierownik nie zrezygnował z zaplanowanej akcji; zbierając młodzież w jednej z sal wiejskich na poddaszu szkolnym (można się tam dostać tylko nieoswieconymi, krętkimi schodami) nie ustawał w pracy.

Hasło: „Ani jeden z ojców-członków kolegi ZMP — nie zalega z dostawami!” młodzi agitatorzy wkrótce zrealizowali. Teraz agitują wśród sąsiadów i znajomych.

Co tydzień świetlicowcy w Radzicach urządzają wieczorki. Przygotowują je w jednym z sal wiejskich, akademie, gazetki ścienne, blyskawice. Stuchają audycji, urządzają pogadanki dyskusyjne o filmach (ostatnio — o filmie radzieckim „Na granicy”).

Gazetki są zawsze podporządkowane jakimś tematowi ogólnemu (np. o skupie, o przyjaźni polsko-radzieckiej). Wiele aktualnych artykułów mówi o gromadzie i gminie.

„Blyskawice” wychodzą w dwóch wydaniach:

1. Krytykujące oportunistów w skupie, w podatkach, odstawie mleka itp. (wywieszane są na płotach i domach);

2. Krytykujące młodzież i ZMP-owców i zachowanie się i postępowanie (ukazują się w grupach).

A w gromadzie i gminie jest kogo i za co krytykować — nawet poza opornymi

i opieszałymi w skupie. Bo i aktyw spłuje się nie najlepiej, jak wynika z listy korespondenta w GS i GRN nie brak objawów biurokratyzmu, kumoterstwa, przemierzania skarg i zażaleń chłopskich.

W tej sytuacji kierownik świetlicy gminnej nie może liczyć na społeczne instytucje gminne. Odcina to jego pracę od ogólnej akcji, podrywa współdziałanie aktywu gminnego. Aktyw nie interesuje się pracą świetlicy i nie stara się jej rozwijać. GRN nie dba o działalność świetlicową. Umieszczenie świetlicy na poddaszu szkolnym odstrasza starszych. Brak zainteresowania starszego aktywu dla pracy świetlicowej nie przywleka chłopów do młodszych świetliczan. Dlatego są oni częściej odcinani od starszych.

W obliczu nowych zadań stała przed świetlicą poważne problemy. Po pierwsze w s e: starsza przyjacielka i zaktywizować starszych gospodarzy, wypełnić wśród aktywów biurokratyzm i niedocenianie pracy kulturalnej. To pomoże Partii w zmianie stylu pracy politycznej na wsi według założeń IX Plenum i zbliży masy chłopów do świetlicy i ZMP-owców. Po drugie — wyłączać caml na pogadankach z wiedzy rolniczej w świetlicy powinni stać się producenci gospodarze gminy, najofiarniejsi chłopi. Oni właśnie powinni uczyć, jak gospodarzyć mądrze, po mistrzowsku, miedzież zaś powinna ich wzmacniać w przyrodoznawie i wiarą w możliwość przeobrażenia przyrody. W tym celu konieczne jest założenie kola skupiającego i starszych i młodzieży. Takie kolo musi działać na całą gminę i współpracować ze wszystkimi świetlicami.

Kierownik nie nie pisze o pracy sąsiednich świetlic gromadzkich. A świetlica gminna powinna im pomagać. Z jego listu wynika, że biblioteka nie jest powiązana ze świetlicą. Biblioteka posiada 57 czytelników. Co czytają — dołdnie nie określa.

I tu więc potrzebne jest powiązanie. Aktyw kulturalny gminy winien umocnić kolektywną współpracę, prowadzić na całym froncie wspólnie zaplanowaną i wspólnie kontrolowaną ofensywę.

B. G.

Gra o świetlicę

Trzeba przyznać, że najbardziej aktywni członkowie świetlicy PGR Chociwel (pow. Strzelin, woj. wrocławskie) to ob. Józef Rucki — jej kierownik i miejscowy listonosz. I dziwna rzecz: im bardziej się obaj aktywizują, tym gorzej z resztą świetliczan.

Zagadkowa historia, co? Zwiastując, że świetlica jest na dobrej drodze, wcale nieźle wyposażona: posiada radiodiodobiornik, dużą scenę, fortepian, stół ping-pongowy i niemałą biblioteczkę, a jednak ludzie powoli o niej zapominają. Procz, oczywiście, panów: kierownika świetlicy i listonosza.

Uprawiają on po dzień dzisiejszy jeden tylko rodzaj zajęć kulturalnych: pewną grę towarzyską, do której starczą nawiązać osoby, a nazywaną popularnie „oko”.

— Kładzie na stół pieniądze penumerytary. Jeżeli zaś góra jest listonosz — przepadają pieniądze na dekoracje świetlicy.

Po drugie zaś — przy „oku” trzeba się skupić. A tego — jak wiadomo — bez ciszy nie zrobisz. Zakazał więc pan kierownik gry w ping-ponga, zamknął fortepian na cztery spusty, rozpedził chóór, a radio oddał żonie na przechowanie, lub powtarzając za miejscowymi członkami ZMP — „na wieczne nieododanie”.

Jakże się zakończy ów trwający już przeszło rok pojedynczy kierownika z listonoszem? Przewidujemy taki wynik: obaj przegrzą w stosunku do załogi PGR, i to grubo — bez możliwości odgrania się. Oczywiście jeżeli robotnicy rzucą na stół swoje atuty z taką siłą, że się dyrekcja PGR obudzi.

TRZY SMUTNY (Na podstawie listu ZMP-owca z Chociwela. Nazwisko znane redakcji).

„Dobry” przykład — działo

B ogusław Czapała, kierownik szkoły w Nowej Wsi, gm. Mierzecze, pow. Zawiercie, zaraz na drugi dzień po objęciu stanowiska zabrał się do wychowania gromady. Wiadomo nie od dziś, że nie tak skutecznie nie działa, jak dobry przykład.

Ob. Czapała od razu pokazał chłopom, jakie to korzyści przynosi energia jednostki. Jest przy szkole ładny kawał ziemi, obsadzony owocowym sadem — własność gromady. Ob. Czapała zebrał najpierw woce, a następnie począł budować własny duży dom.

To się nazywa energiczny chłop, co? Ale jak zbudować piękny dom? W tym dopiero miejscu blysnął nasz kierownik pomysłowością Z „czynnikami” dobrze żył, a wyjdzie na swoje. Nie jest żadną tajemnicą, że w wyniku częstych kontaktów ob. Czapały z kierownikami GS i GRN, ciągnących się nieraz do białego rana — energiczny kierownik zgromadził niezwykle szybko odpowiednie ma-

Gazetka gminna

Dzielną trójka

Opierając najważniejsze osoby w całej sprawie: Szymon Haraś, członek GRN-u w Rudniku, pow. Krasnostaw, Władysław Szacara — radny i Feliks Mazurek, opiekun Domu Ludowego w gromadzie Marców.

A teraz będzie o tym, co owi aktywiści zdziałali. Przede wszystkim znani są z kapitalnych wystąpień na gromadzkich i gminnych zebraniach. I to wyłącznie w „kwestjach formalnych”, lub co najmniej „zasadniczych”. Dla przykładu — kiedy w gminie radzono nad skupem, Haraś zgłosił wniosek, aby pomieścić o reperacji pieców w związku z zbliżającą się poroczną zwyżką — zajął. Na zebraniu gromadzkim w Marcowie, gdzie mówił się o zabezpieczeniu bazy pasowej, Szacara wypowiedział się za „ograniczeniem rozrodności psów, gdyż się nocą nigdzie pokazać nie można”.

Opierając najważniejsze osoby w całej sprawie: Szymon Haraś, członek GRN-u w Rudniku, pow. Krasnostaw, Władysław Szacara — radny i Feliks Mazurek, opiekun Domu Ludowego w gromadzie Marców.

A teraz będzie o tym, co owi aktywiści zdziałali. Przede wszystkim znani są z kapitalnych wystąpień na gromadzkich i gminnych zebraniach. I to wyłącznie w „kwestjach formalnych”, lub co najmniej „zasadniczych”. Dla przykładu — kiedy w gminie radzono nad skupem, Haraś zgłosił wniosek, aby pomieścić o reperacji pieców w związku z zbliżającą się poroczną zwyżką — zajął. Na zebraniu gromadzkim w Marcowie, gdzie mówił się o zabezpieczeniu bazy pasowej, Szacara wypowiedział się za „ograniczeniem rozrodności psów, gdyż się nocą nigdzie pokazać nie można”.

Opierając najważniejsze osoby w całej sprawie: Szymon Haraś, członek GRN-u w Rudniku, pow. Krasnostaw, Władysław Szacara — radny i Feliks Mazurek, opiekun Domu Ludowego w gromadzie Marców.

A teraz będzie o tym, co owi aktywiści zdziałali. Przede wszystkim znani są z kapitalnych wystąpień na gromadzkich i gminnych zebraniach. I to wyłącznie w „kwestjach formalnych”, lub co najmniej „zasadniczych”. Dla przykładu — kiedy w gminie radzono nad skupem, Haraś zgłosił wniosek, aby pomieścić o reperacji pieców w związku z zbliżającą się poroczną zwyżką — zajął. Na zebraniu gromadzkim w Marcowie, gdzie mówił się o zabezpieczeniu bazy pasowej, Szacara wypowiedział się za „ograniczeniem rozrodności psów, gdyż się nocą nigdzie pokazać nie można”.

Opierając najważniejsze osoby w całej sprawie: Szymon Haraś, członek GRN-u w Rudniku, pow. Krasnostaw, Władysław Szacara — radny i Feliks Mazurek, opiekun Domu Ludowego w gromadzie Marców.

A teraz będzie o tym, co owi aktywiści zdziałali. Przede wszystkim znani są z kapitalnych wystąpień na gromadzkich i gminnych zebraniach. I to wyłącznie w „kwestjach formalnych”, lub co najmniej „zasadniczych”. Dla przykładu — kiedy w gminie radzono nad skupem, Haraś zgłosił wniosek, aby pomieścić o reperacji pieców w związku z zbliżającą się poroczną zwyżką — zajął. Na zebraniu gromadzkim w Marcowie, gdzie mówił się o zabezpieczeniu bazy pasowej, Szacara wypowiedział się za „ograniczeniem rozrodności psów, gdyż się nocą nigdzie pokazać nie można”.

Opierając najważniejsze osoby w całej sprawie: Szymon Haraś, członek GRN-u w Rudniku, pow. Krasnostaw, Władysław Szacara — radny i Feliks Mazurek, opiekun Domu Ludowego w gromadzie Marców.

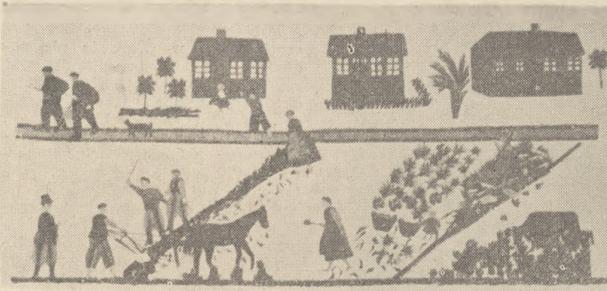
A teraz będzie o tym, co owi aktywiści zdziałali. Przede wszystkim znani są z kapitalnych wystąpień na gromadzkich i gminnych zebraniach. I to wyłącznie w „kwestjach formalnych”, lub co najmniej „zasadniczych”. Dla przykładu — kiedy w gminie radzono nad skupem, Haraś zgłosił wniosek, aby pomieścić o reperacji pieców w związku z zbliżającą się poroczną zwyżką — zajął. Na zebraniu gromadzkim w Marcowie, gdzie mówił się o zabezpieczeniu bazy pasowej, Szacara wypowiedział się za „ograniczeniem rozrodności psów, gdyż się nocą nigdzie pokazać nie można”.

Opierając najważniejsze osoby w całej sprawie: Szymon Haraś, członek GRN-u w Rudniku, pow. Krasnostaw, Władysław Szacara — radny i Feliks Mazurek, opiekun Domu Ludowego w gromadzie Marców.

A teraz będzie o tym, co owi aktywiści zdziałali. Przede wszystkim znani są z kapitalnych wystąpień na gromadzkich i gminnych zebraniach. I to wyłącznie w „kwestjach formalnych”, lub co najmniej „zasadniczych”. Dla przykładu — kiedy w gminie radzono nad skupem, Haraś zgłosił wniosek, aby pomieścić o reperacji pieców w związku z zbliżającą się poroczną zwyżką — zajął. Na zebraniu gromadzkim w Marcowie, gdzie mówił się o zabezpieczeniu bazy pasowej, Szacara wypowiedział się za „ograniczeniem rozrodności psów, gdyż się nocą nigdzie pokazać nie można”.

WYCINANKI TEMATYCZNE

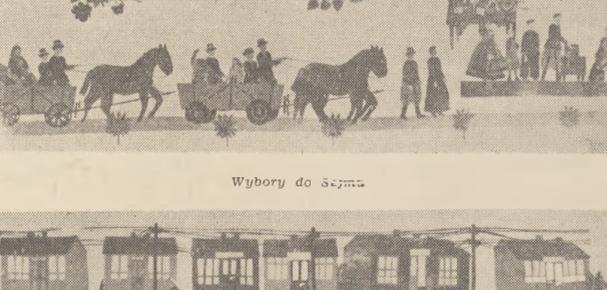
Wycinanki tematyczne Marii Kotaczyńskiej. Otrzymała ona na Konkursie Twórczości Ludowej nagrodę Centralnej Rady Spółdzielczej za najlepszy z cyklu na temat socjalistycznej przebudowy wsi. Foto W. Piotrowski



Spór o miedzę.



Wies w okresie kapitalizmu.



Wybory do Sejmu.



Przebudowa naszej wsi.



Na spółdzielczych polach.



Pierwsze nasze osady.

Kronika kulturalna

Jednym z głównych terenów działalności poznańskich teatrów jest wieś Wieloosobowe ekipy zawodowych artystów z Poznania odwiedzają stale spółdzielnie produkcyjne, PGR-y i gromady indywidualne polozone niekiedy w najdalszych zakątkach województwa. Ostatnio zorganizowane w Poznaniu stały zespoły pn „Kuznica”. Zadaniem tego zespołu jest udzielanie stałej i systematycznej pomocy wiejskim zespołom artystycznym, świetlicom i ochotniczym zespołom amatorskim przy zakładach pracy W skład „Kuznicy” weszło, oprócz kilku pracowników technicznych poznańskich teatrów, 5-ciu aktorów Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu, oraz 15 aktorów-amatorów spośród zespołów ochotniczych. Zespół ten już przygotował i wystawił sztukę Wojciecha Bogusławskiego pt. „Henryk VI na łowach”.

Nowopowstały zespół, którego kierownikiem został znany artysta Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu Lucjan Rabski będzie wyjeżdżał stale do miasteczek powiatowych i świetlic gminnych, gdzie organizowane będą pokazywane próby sztuk teatralnych, połączonych z omawianiem ich problematyki. Poza tym „Kuznica” udzielać będzie pomocy instrukcyjno-technicznej przy urządzaniu scen, przygotowaniu dekoracji itp.

Piękna inicjatywa poznańskich artystów i pracowników teatru niech będzie wzorem dla wszystkich artystów z teatrów naszego kraju.

Biblioteka przy Wiejskim Domu Kultury w Szycach miała do niedawna kilku czytelników. Dziś biblioteka w Szycach ma 230 stałych czytelników, z których 100 zgłosiło się do IV etapu konkursu czytelniczego. Liczba ta — dzięki inicjatywie koleżanek Libkowej i Spiradówny — stale się powiększa. Różnymi sposobami wyszły one z książką naprzeciw czytelnika, zdoławszy go zainteresować i pozyskać dla niej.

Indywidualne rozmowy na temat ciekawej książki, posługiwanie się książką przy wyjaśnianiu niektórych problemów, zjednały niejednego czytelnika. Libkowa i Spiradówna często dostarczają książek chorym. Szczęśliwy Dom Kultury popularyzuje książkę nie tylko w najbliższych Szycach i w Modnicy, lecz i w odległym Giebułtowiu, Wielkiej Wsi, Modniczkach i innych miejscowościach. Zorganizowano w nim zespoły czytelnicze, mające już swoich przodowników. Szczególnym powodzeniem cieszą się książki i broszury rolnicze; ich czytelnicy są stałymi uczestnikami zajęć samokształceniowych. Zorganizowali oni kółko mizurinowskie, które prowadzi 16 poletek doświadczalnych, hodując najrozmaitsze gatunki pszenicy.

Organizatorzy IV etapu konkursu! Zastосуjcie doświadczenia Waszych koleżanek z Szyc, a wtedy książka popłynie szerokim strumieniem do pracujących chłopów.

W całym kraju trwa mobilizacja organizowana przez wiejski aktyw kulturalny w celu zdobycia jak największej liczby uczestników IV etapu konkursu czytelniczego. Termin zakończenia zgłoszeń jest bliski. Wielka rola w organizowaniu konkursu przypadła młodzieży wiejskiej; wykazuje ona największą inicjatywę.

Pięknie i zasługujące na podkreślenie zobowiązanie podjęli członkowie ZMP przy Państwowym Ośrodku Maszynowym w Opatówku, pow. kaliskiego. Na uroczystym zebraniu poświęconym 36 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej zobowiązali się oni wstąpić w szeregi PDP-R, pracować jeszcze wydajniej, podnieść poziom nauki i zgłosić swój udział do IV etapu konkursu czytelniczego.

Za przykładem 26 ZMP-owców z kola ZMP, do konkursu zgłosił się także dyrektor POM tow. Władysław Makol i instruktor Wydziału Politycznego, tow. Stanisław Konarski. ZMP-owcy z Opatówka w swoim zobowiązaniu piszą: „Naszym udziałem w IV etapie konkursu chcemy potwierdzić słowa uczestników II Krajowego Zlotu Przodowników Czytelnictwa do Prezesa Rady Ministrów tow. Bieruta:

„Przyrzekamy Ci, że w IV etapie konkursu czytelników uwielokrotnimy ilość jego uczestników, by książka stała się powszechnym chłopskim orężem w walce o postępową wieś, w walce o pokój i socjalizm”.

Systematyczny wzrost czytelnictwa w powiecie inowrocławskim jest rezultatem sumiennej i dobrze zorganizowanej pracy kierownictwa biblioteki powiatowej. Otacza ona opieką 2 biblioteki miejskie, 8 bibliotek gminnych oraz 120 punktów w gromadach i PGR-ach, co miesiąc organizuje odprawy, na których bibliotekarze wiejscy zapoznają się z nowościami wydawniczymi oraz radzą nad sposobami rozpowszechniania książki na swym terenie.

Zwiększanie się z dnia na dzień liczby czytelników w tym powiecie jest wynikiem stosowania atrakcyjnych form propagandy czytelnictwa, jak organizowanie wystaw, pogadanek, dyskusji oraz dobrej pracy księgonoszy. Docierając do tych gromad, w których jeszcze nie ma punktów bibliotecznych, zachęcają oni chłopów do czytania, dyskutując nad treścią przeczytanych książek.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny wziąć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL  
Redaguje Komitet  
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81.  
Adres redakcji: Warszawa, Wesołowska nr 7.  
Telefony: Rec. Nauk 863-66 Redakcji 87661, wewnętrzny 13, 42, 70.  
W ar u c k i p r e n u m e r a t y :  
mies. — 4.60 zł. Kwartalnie — 13.80 zł, półrocznie — 27.60 zł, rocznie — 55.20 zł.  
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 4-B-22102

JAN BIEGAŁA  
(Na podstawie listu mieszkajka Nowej Wsi. Nazwisko znane redakcji).

JAN WICHURA  
(Na podstawie listu ZMP-owców z Marcowa. Nazwisko znane redakcji).

\*) Z tomiku „Wesołych opowiadań”, przygotowanych do druku.